



Michel Zévaco  
**BOHATERKA**

Tom 2



42

ISBN 978-83-66980-45-7 (całość)  
ISBN 978-83-66980-47-1 (tom drugi)

**BIBLIOTEKA ANDRZEJA  
SZLAKIEM PRZYGODY**

**Michel Zévaco**

**BOHATERKA**

**Część druga**



Michel Zévaco urodził się 1 lutego 1860 roku w Ajaccio na Korsyce. Swoje chłopięce lata spędził w internacie, w 1878 roku zdał maturę. Następne cztery lata spędził w wojsku, którego szeregi opuścił jako podporucznik dragonów. W lipcu 1886 zamieszkał w Paryżu.

Zafascynowany literaturą i polityką, został dziennikarzem, potem sekretarzem redakcji pisma „L'Égalité”, kierowanym wówczas przez rewolucjonizującego socjalistę, Jules'a Roques. W 1889 roku Zévaco wystartował z Ligi Socjalistów – bez powodzenia – w wyborach parlamentarnych. Z powodu zjadliwości swych wypowiedzi w okresie nasilonych zamachów anarchistycznych został kilkakrotnie skazany na pobyt w więzieniu Sainte-Pelagie, np. za „nawoływanie do zabójstwa” w 1890 roku, a także w 1892 za wypowiedź na zgromadzeniu publicznym w Paryżu: „Burżuje zabijają nas głodem; kradnijmy, zabijajmy, wysadzajmy dynamitem; wszystkie środki są dobre, by uwolnić nas od takiego gnicia”.

W roku 1900 Zévaco porzucił dziennikarstwo polityczne, by poświęcić się pisaniu powieści odcinkowych. W tej nowej roli zadebiutował powieścią *Borgia!*, opublikowaną w „La Petite République Socialiste”. Po sukcesie tego utworu stworzył dla tego samego dziennika cieszącego się popularnością bohatera, Pardaillana.

W 1905 roku związał się z dziennikiem „Le Matin”, dzięki któremu stał się wiodącym pisarzem, stawianym na równi z Gastonem Leroux. W latach 1905-1918 „Le Matin” opublikowało dziewięć powieści odcinkowych, z których *Fanfaron* i seria o Pardaillanach były namiętnie czytane przez młodego Jean-Paula Sartre'a. Powieści te równolegle wydało Wydawnictwo Fayarda w swojej serii „Książka Populama”.

Trzeba zaznaczyć, że Zévaco nie porzucił zupełnie dziennikarstwa. Jego nazwisko pojawia się na listach współpracowników literackich dziennika „L'Humanité”.

Podczas I wojny światowej opuścił Pierrefonds, gdzie żył od końca XIX wieku, by zamieszkać w schronisku w Eaubonne w Val-d'Oise, gdzie zmarł na raka 8 sierpnia 1918 roku.

Powieści Michela Zévaco mieszczą się głównie w gatunku literackim „płaszczka i szpada”, a ich fabuła w większości rozgrywa się we Francji w czasie XIV-XIX wieku. Żywa akcja czy ciekawe tło historyczne sprawiły, że utwory Zévaco cieszyły się wielką popularnością nie tylko we Francji, ale także we Włoszech i Rosji. Kilka z nich przeniesiono na ekrany kin.

Do najważniejszych i najlepszych powieści tego pisarza można zaliczyć złożony z dziesięciu tomów cykl *Pardaillanowie* oraz utwory: *Fanfaron*, *Bohaterka*, *Most wspomnień*, *Kochankowie z Werony*, *Buridan*, *Krwawa królowa*, *Nostradamus*, *Ląka kleryków*, *Piękna Florinda*, *Borgia!*. Większość z nich można łączyć w cykle, powiązanych ze sobą za sprawą postaci głównego bohatera.



Michel Zévaco



# BOHATERKA

Wielka powieść płaszcza i szpady

**Część druga**

**Przełożył i przypisami opatrzył Andrzej Zydorczak**

**Sto szósta publikacja elektroniczna  
Wydawnictwa JAMAKASZ**

Czterdziesty drugi tom serii:  
„Biblioteka Andrzeja – Szlakiem Przygody”

Tytuł oryginału francuskiego:  
*L'Héroïne*

© Copyright for the Polish translation  
by Andrzej Zydorczak, 2022

27 ilustracji, w tym 9 kolorowych: Wojciech Nawrot oraz  
mapa Paryża w XVI wieku © Copyright for the cover and  
inside illustrations by Wojciech Nawrot, 2022

Redaktor serii: Andrzej Zydorczak

Redakcja: Janusz Pultyn  
Projekt okładki: Barbara Linda  
Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

**Wydanie I**

**© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2022**

**ISSN 2449-9137**

ISBN ISBN 978-83-66980-45-7 (całość)

ISBN 978-83-66980-47-1 (część 2)

## Rozdział XXXVIII

### Król Ludwik XIII

Już o świcie kardynał de Richelieu był na nogach. Król zamierzał udać się do Fontainebleau<sup>1</sup> i wezwał go na ósmą rano. Jego Eminencja przez całą noc czekał na powrót Saint-Priaca, na początku z tłumioną radością z powodu bliskiego triumfu, potem z niecierpliwością i niepokojem, a wreszcie z gorączkowym przecuciem porażki. Nie pojawiał się ani Saint-Priac, ani Rascasse, ani Corignan. Przyszedł świt, ale nie było nikogo. O szóstej rano – nikogo. Około siódmej kardynał udał się do Luwru i ujrzał na dziedzińcu ekwipaże królowej, która miała towarzyszyć Ludwikowi wraz ze swoimi dwórkami.

Anna Austriaczka już przybyła, opuściwszy Val-de-Grâce o szóstej rano, by wykonać polecenie jej królewskiego, tyrańskiego małżonka.

Moc dworzan paradowało już przed Luwrem na pięknych i silnych normandzkich rumakach, których zresztą przestawano używać od czasu, jak zbroje stały się lżejsze, choć nagolenniki pozostały jeszcze na każdym zakręcie ich historii. Lecz pod mieniącymi się satynowymi lub aksamitnymi płaszczami prawie wszyscy jeźdźcy nosili skórzane pancerze i ryngrafy<sup>2</sup>.

W przedpokojach damy dworu królowej wyczekiwały na odjazd. Jedna z tych pań, młoda i piękna, wyglądała przyjazdu kardynała. Była nią pani de Givray. Gdy się ukazał, podeszła do niego i pochyłona w ukłonie, przyjmując od niego błogosławieństwo, wyszeptwała pospiesznie:

---

<sup>1</sup> *Fontainebleau* – miasteczko w północno-wschodniej Francji, w departamencie Seine-et-Marne (rejon Île-de-France), 60 km na południowy wschód od Paryża, z wielkim zamkiem i dużymi terenami leśnymi w okolicy.

<sup>2</sup> *Ryngraf* – niewielka, wypukła blacha, zwykle w kształcie tarczy z rysunkiem o tematyce religijnej, później z godłem państwowym; noszony dawniej przez rycerzy na zbroi pod szyją oraz przez wojskowych na mundurze.



- Królowa odbyła jeszcze jedno spotkanie z Monsieur.
- Czy książę Gaston był sam?
- Towarzyszył mu marszałek d’Ornano.

Wywiadowczyni kardynała lekkim krokiem dołączyła do grupy pań i zaczęła rozmawiać wesoło, śmiejąc się. Może nie była zbyt pewna, czy uczyniła dobrze i czy jej szybka rozmowa z kardynałem nie była niegodziwością.

Kardynał kroczył przez pokoje, a gdzie przeszedł, zalegała cisza. Wszyscy kłaniali się, lęk i szacunek pochylał wszystkie głowy. W otoczeniu kilku swych dworzan szedł powoli, zręcznie, pozornie nie zwracając uwagi na poważanie, jakie tworzyło specjalną atmosferę, jednak w głębi duszy rozkoszując się nim.

Do królewskich komnat Richelieu został wprowadzony przez Pierre’a Bertauta.

Ów dworzanin był ojcem rozkosznej dziewczynki, mającej wówczas około dziesięciu lat, która później miała nazywać się pani de Motteville i zostawić po sobie zabawne pamiątki z tej tak ciekawej epoki.

Kardynał wszedł do gabinetu króla i ujrzał stojącego w pobliżu fotela dwudziestosześcioletniego szlachcica ubranego w strój z szarego aksamitu, ze szpicrutą w ręku, w nonszalanckiej, choć chorowitej postawie, z niespokojnym wzrokiem. zasępionym czołem pod długimi włosami opadającymi puklami aż na ramiona – a jednocześnie ta nijakość korygowana była najwyższą elegancją gestów i powściągliwością.

Był to król Francji.

Ludwik XIII nie był już tym wdzięcznym, marzycielskim, porywczym młodzieńcem, inspirującym rodzaj współczującej czułości, tym biednym małym królewiatkiem, którego pokazaliśmy, opowiadając o przygodach pana de Capestang. Jego nieśmiałość przeszła w słabość. Jej bohaterskie instynkty stały się cierpkie i zmieniły się w głuchą, niewyznaną potrzebę władzy. Chciał być panem i nie śmiał tego czynić. Marzył o rozkazywaniu, a to on słuchał poleceń. Z tego biernego posłuszeństwa wobec despotyzmu Richelieu’go, okrutnie mścił się na bliskich. Zdrady, podejrzenia, strach zabiły w nim młodość. Wątpił w siebie i we wszystkich. Mówił źle, czasem się jękał. Miał

napady wściekłego gniewu i głębokiego przygnębienia. Wszystko to mogło być spowodowane chorobą, która go podminowywała...

To nie był już bohater Capestanga.

Taki był obecnie Ludwik XIII.

Jednocześnie z kardynałem do gabinetu królewskiego drugimi drzwiami weszła królowa Anna Austriaczka. Na jej widok kardynał zatrzymał się i zachwiał na nogach. Na jego twarzy rozlała się śmiertelna błądź, ręce zacisnęły się, stłumił łkanie.

Królowa była bowiem piękna, ową promienną pięknnością, której smutek i źle obtarte lzy dodawały jeszcze uroku. Richelieu kochał ją rozumem i sercem, dumą i namiętnością. Za jej uśmiech wyrzekłby się swej władzy. A oto owa piękna kobieta, owo wymarzone bóstwo rzuciło na niego jedno z tych lodowatych spojrzeń, które wydają się mówić: „Nigdy!”

Dumny Richelieu, przed którym wszyscy pochylali głowy, pochylił się więc przed królową w pokornym ukłonie. Ale u tego człowieka, którego tak podziwiała historia, ból natychmiast przybierał swą najbardziej podłą i ohydłą postać, gdy nie jest ona uszlachetniona walką i usprawiedliwiona niebezpieczeństwem. Była nią zemsta... Z ust wybiegł mu prawdziwy syk:

– Sire<sup>1</sup> – powiedział – oddaję się do dyspozycji Waszej Królewskiej Mości, a jednocześnie mam zaszczyt oznajmić, że dziś jeszcze urządzę się w moim świeżo wykończonym pałacu...

Królowa ani drgnęła.

– Sire – rzekła zimno – przychodzę prosić Waszą Królewską Mość o pozwolenie nietowarzyszenia mu do Fontainebleau. Pragnęłabym pozostać w mojej skromnej rezydencji w Val-de-Grâce...

Już chmura gniewu okryła czoło Ludwika XIII, gdy Richelieu, dał mu nieznaczny znak. Król przez chwilę spoglądał na niego zdumiony, ale ponieważ kardynał powtórzył znak, więc rzekł:

– Uczyni pani, jak ci się podoba. Przypuszczam, że... nie zakłóce ci spokoju w twej sa... samotni.

---

<sup>1</sup> Sire (fr.) – pan, tytuł przysługujący panom feudalnym, używany także przy zwracaniu się do króla, Najjaśniejszy Pan.

Anna Austriaczka złożyła przed królem głęboki ukłon, po czym wyszła z gabinetu, nie spojrzawszy na kardynała, bladego z miłości i gniewu. Kilka chwil później można było usłyszeć hałas pojazdów odwożących królową i jej dwór.

– Sire – rzekł wtedy kardynał – dobrze będzie, gdy w królowej wzbudzimy ufność. Dlatego poprosiłem Waszą Królewską Mość o pozostawienie jej zupełnej swobody, ale ja tam będę... i czuwał...

Ludwik XIII rzucił na ministra spojrzenie pełne czarnej nienawiści i być może także rozpacz.

– Tak – mruknął – wiem, że czuwasz, panie. Moje dobra, moja korona, wszystko aż do mego honoru włącznie jest w twoich rękach, a moja osoba raduje się nawet z tej niestrudzonej ochrony. Co bym bez ciebie począł? Byłbym tylko królem, jak Henryk IV, mój ojciec. Dzięki twej troskliwości szybuję powyżej... niebezpieczeństw grożących mej królewskości.

Wybuchnął gorzkim śmiechem. Ta zgryźliwa i posępna ironia była cechą jego charakteru. Richelieu bardzo dobrze zrozumiał szyderstwo, poprzestał jednak na zapewnieniu, że całym swym życiem służy królowi.

Ludwik XIII padł na fotel.

– Jestem zmęczony – rzekł ponurym tonem, który rzadko go opuszczał. – Wszystko to przeraża mnie i rozdziera mi serce. A więc Gaston... mój brat! Tak, mój brat, ośmieliłby się... Ach, kardynale, jak okropnie jesteś czujny!

Potem dodał cicho, jakby do siebie: – Wolałbym o niczym nie wiedzieć!

Ludwik XIII przez kilka trwał w milczeniu. Richelieu trwał niewzruszenie spokojny. Był w nim oprawca. To cierpienie męża królowej koło jego własne. Wystrzegął się, aby nie przerwać tej zacieklej zadumy.

– A więc mówisz – zagaił znowu rozmowę król – że istnieje zamiar wtrącenia mnie do klasztoru albo do grobu, a potem wydania królowej za mego brata, który z kolei sam zostanie królem? Powiedz! – kontynuował król ze wściekłym bólem rannego, którego

ranę rozwierca się żelazem. – Mów! To prawda, czyż nie tak? To twoja przenikliwość i twoje zaangażowanie odkryły ten spisek?

– Och, Najjaśniejszy Panie – rzekł wreszcie Richelieu ze złowróżbnym spokojem – błagam Waszą Królewską Mość, nie przesadzajmy! Bogu dzięki, ani królowa, ani Monsieur nie stworzyli tak obrzydliwych planów. Powiedziane było jedynie, że gdyby król umarł, jego brat wstąpiłby na tron, co oczywiste, a wtedy jego niemal obowiązkiem byłoby nie odsyłać królowej do Hiszpanii... ot, i wszystko!

– Ot i wszystko...!

– Tak, Najjaśniejszy Panie: gdyby Wasza Królewska Mość umarł... albo... abdykował...

– Umrzeć jak Henryk III i Henryk IV... albo abdykować jak Karol V<sup>1</sup> – wyszeptał Ludwik XIII.

Znowu zapadła długa, straszliwa cisza. W tej komnacie trzepotała skrzydłami utrata nadziei, ponieważ wraz z Richelieu pojawiło się w niej szalone widmo ambicji.

– W mojej rodzinie! – ciągnął dalej Ludwik XIII. – Mój własny brat...!

– Sire – powiedział Richelieu, kłaniając się – mam zaszczyt prosić cię o rozkaz aresztowania mego brata Louisa de Richelieu.

Ludwik XIII z żywością podniósł głowę. Jego blade wargi wykrzywił pogardliwy grymas.

– Tak, rozumiem cię, kardynale – rzekł powoli. – Nie ma rodziny, nie ma brata, nie ma żony, nieprawdaż, nie ma się nic, kiedy chodzi o politykę?

– Kiedy chodzi o dobro państwa, Sire.

– Niech i tak będzie. Cóż takiego uczynił nowo mianowany kardynał, co szkodziłoby interesom państwa? Powiedz mi, kardynale, oskarż brata.

---

<sup>1</sup> *Karol V Mądry*, z dynastii Walezjusów (1337-1380) – król Francji od roku 1364, syn Jana II Dobrego, ojciec Karola VI Szalonego; jako regent (od 1356) zawarł pokój z Anglikami w roku 1360 w Brétigny; umożliwiło to wzmocnienie władzy królewskiej, reorganizację wojska i finansów, przezwyciężenie kryzysu gospodarczego; za jego panowania rozbudowano Paryż (wzniesiono Bastylię); w roku 1369 wznowił wojnę stuletnią, odnosząc sukcesy.

– Najjaśniejszy Panie, nie był posłuszny królowi i opuścił Paryż dopiero dziś w nocy.

– Ba...!

– To nie jest wcale błażostka teraz, kiedy niezbędne jest zmuszanie do posłuszeństwa tych wszystkich hreczkosiei. Lecz jeśli proszę cię, Sire, o kapelusz kardynalski dla mego brata, to tylko dlatego, aby opuścił Paryż. Jeśli zaś chciałem go wypchnąć z Paryża, to jedynie dlatego, że popiera on pretensje tej intrygantki, tej awanturnicy...

– Córkę tej biednej Lespars?

– Tak, Sire. Znalazła ona w moim bracie najgorętszego obrońcę...

– A jeśli to jednak prawda? Jeśli panna de Lespars – dodał Ludwik XIII, oblewając się rumieńcem – rzeczywiście jest córką mego ojca?

– Byłaby przez to jeszcze bardziej niebezpieczna. Lecz jest to jedynie wytwór wyobraźni owej, jak ją raczyłeś nazwać, biedaczki Lespars, która była bardzo groźną i wielką amatorką przygód... Sire, te urojone pretensje mogą spowodować zamęt pośród naszej szlachty, już tak mało skłonnej do przyjmowania dyscypliny, którą musimy jej narzucać. Proszę cię, Sire, o rozkaz aresztowania mego brata...

Ludwik XIII był człowiekiem o dziwnej słabości charakteru. Bywał też okrutny. Brało się to może ze słabego zdrowia, a może z mizantropijnego usposobienia. Zwłaszcza o nim można było powiedzieć, że był królem słabym. Lecz Ludwik XIII był w duszy również szlachcicem... nawet wówczas, gdy szlachta spiskowała przeciw władzy królewskiej i gdy pozwalał Richelieu'emu, aby ją ścinał, to w głębi serca wraz z nią spiskował. Nienawidził sposobu działania, jaki sobie przyznawał ten niegodziwy kapłan w czerwonej szacie, chcący nałożyć szlachcie kaganiec i uwięzić ją na łańcuchu.

– Mości kardynale – powiedział – czuję dużo sympatii dla twego brata. Nie chcę...

– Ależ, Sire! – przerwał mu Richelieu.

– Gdy król powie: „Ja chcę lub nie chcę – rzekł Ludwik XIII – pozostaje tylko być mu posłusznym. Chcę, aby mój nowy kardynał dostał się spokojnie do swego miasta, czyli Lyonu...

Richelieu uśmiechnął się. Król dostrzegł ten uśmiech i dodał:

– Gdyby w drodze przytrafiłoby się mi jakieś nieszczęście, to znajdę winowajcę i ukarzę go, choćby był na samym szczycie władzy.

Richelieu pobladł i pomyślał, że Ojciec Joseph musiał postawić jakieś dobre ostrze na drodze do Lyonu. Skłonił się głęboko i wyszeptał:

– Życzenia mego króla są dla mnie rozkazem.

– Kardynale, raczej powiedz: moja wola. A teraz dokończ swój raport.

Słowa te chłósnęły Richelieu’go. Zrozumiał, że jeśli nie przyjmie wyzwania, jeśli zaakceptuje to smagnięcie szpicrutą, zostanie podezwany jego autorytet. Zrozumiał, że król przeżywał jedną z krótkich godzin buntu. Przyjął więc maskę dumnej twarzy, czego nauczył go Ojciec Joseph, i która była bez wątpienia najbardziej wyrazistą oznaką jego siły.

– Najjaśniejszy Panie – powiedział, prostując się i blednąc – minister nie składa raportów lecz dyskutuje o sprawach państwa. W chwili gdy Wasza Królewska Mość widzi we mnie jedynie zwykłego urzędnika, oddalam się, Sire, mam zaszczyt prosić o odprowadzenie mnie...

Uderzenie było zręczne. Zawsze się udawało... albo prawie zawsze.

– Kardynale – odparł Ludwik XIII z godnością – widzę w tobie zwykłego poddanego, a jak mi się zdaje, jeszcze jestem królem, co prawda bardzo słabym. Jednak nawet będąc takim królem, jakim jestem, to jako prewot czy minister zawsze będziesz moim poddanym. Musisz mi zatem być posłuszny aż do dnia, w którym wstąpię do klasztoru, albo do grobu, który chcą przede mną otworzyć. Rozkazuję ci więc strzec naszej osoby z oddaniem, co uczyni cię pierwszego spośród naszych poddanych.

– Ach, Sire... – wymamrotał Richelieu, udając, że się pogodził z upokorzeniem.

– Mówię: pierwszego, a jeśli w sercu są słowa, które wymazuję, gdy tylko usta je wypowiedzą, to te w pełni potwierdzam. Mów zatem, kardynale, słucham cię...

Ludwik XIII opadł na fotel i mówił dalej z ukrywaną nonszalancją:

– Żądając ode mnie aresztowania twojego rodzonego brata, wskazałeś mi w ten sposób, że przywiązanie rodzinne powinno ustąpić przed interesami państwa... zamierzałeś zatem...

Król zamilkł i zaczął bawić się swą szpicrutą. Richelieu przypartywał się mu z wielką uwagą gracza.

– Zażądać od ciebie, sire, aresztowania księcia Andegaweńskiego? – zapytał, sondując grunt. – Czy to właśnie chciałeś powiedzieć, Wasza Królewska Mość...?

Ludwik XIII zachował milczenie. Richelieu niedostrzegalnym gestem wyraził swój gniew.

– Sire – zapytał – a jeśli zażądam od ciebie tego aresztowania?

– Ho! ho! – wykrzyknął Ludwik XIII, podnosząc się gwałtownie z miejsca.

Spojrzeni na siebie badawczo. Każdy z nich marzył w duszy o usunięciu Gastona Andegaweńskiego, żaden z nich jednak nie chciał wziąć na siebie odpowiedzialności za ten straszliwy skandal. W kilka chwil Richelieu obliczył szybko swoje siły i niewątpliwie osądził, że aresztowanie księcia Andegaweńskiego mogłoby wywołać rewoltę szlachty i że obecnie nie ma dość mocy, żeby zniszczyć równie potężnego przeciwnika.

„Brakuje mi jeszcze kilku głów” warczał w myślach, a głośno rzekł: – Sire, to prawda, marzę o uwięzieniu Jego Książęcej Mości, twego brata, lecz niewola będzie słodka: trzeba go ożenić.

Ludwik XIII usiadł z powrotem w fotelu.

– Należy – dodał kardynał – przyspieszyć związek Monsieura z panną de Montpensier, wtedy ucichną wszystkie plotki, rozproszą się wątpliwości, upadną wszystkie nadzieje. Wówczas Monsieur zostanie lepiej oddzielony od królowej niż murami więzienia. Tym sposobem wyrwiemy go spod wpływów i przewrotnych podszeptów tych, którzy go otaczają.

– Nazwij ich – rzekł król zmienionym głosem.

– Księżna de Chevreuse, księżna de Condé, pan de Vendôme, jego brat, Wielki Przeor, sami wrogowie Waszej Królewskiej Mości. Wkrótce będą miał dowody...

– A czekając na te dowody?

– Wymierzę w nich cios, aby ostrzec najzuchwalszych, że mamy piorun, który wszystko może zamienić w pył! Schwytam najaktywniejszych z tych złych doradców, a przede wszystkim tego, który ma największy wpływ na słabego księcia Andegaweńskiego...

– Myślisz o marszałku Ornano?

– To Wasza Królewska Mość wymieniła jego nazwisko. Tak, Sire, ten, który był guwernerem księcia, a teraz stał się jego potępioną duszą. Już najwyższy czas, Sire. Przyszedłem ci oznajmić, że Ornano miał także sekretne spotkanie z...

– Dokończ, kardynale.

– Z królową, Najjaśniejszy Panie!

Ludwik XIII zszedł. Powstał z wysiłkiem, przesunął ręką po czole, dwukrotnie obszedł swój gabinet i stanąwszy przed Richelieu, rzekł:

– Możesz już odejść, mości kardynale.

Richelieu skłonił się nieszczęsnemu królowi, którego skazał na tortury i cicho opuścił królewski apartament.

W przedpokoju spotkał Ornana.

– Sądzę, że Jego Królewska Mość będzie pana potrzebował – rzekł do niego ze słodkim uśmiechem.

Ornano był dzielnym żołnierzem, szaleńczo zakochanym w księżniczce de Condé. Był to podwójny powód, przez który brakowało mu odrobiny politycznej finezji, jaka poradziłaby mu, żeby trzymał się od niej z daleka. Odwrócił się do szlachciców, z którym razem czekał, i z promiennym uśmiechem rzekł:

– Wydaje się, że król mnie potrzebuje!

– Król! – rozległ się w tej chwili głośny okrzyk odzwiernego.

Ludwik XIII powoli przechodził pomiędzy grupkami i nikt nie zdołał zobaczyć na jego twarzy śladów tej burzy zazdrości, furii, rozpaczki, która wtedy rozpełtała się w jego sercu. Zszedł na dziedziniec, wsiadł na konia i opuścił Luwr w towarzystwie około trzydziestu szlachciców, eskortowanych przez pół kompanii muszkietarów szarych<sup>1</sup>, czyli stu dwudziestu pięciu jeźdźców.

---

<sup>1</sup> *Muszkietery szarzy* – po reformie w 1664 roku muszkietarów (w tym także dawnych muszkietarów kardynała) podzielono na dwa oddziały, zwane od koni jakich dosiadali muszkietarami szarymi i muszkietarami czarnymi.



Cała skrytość Ludwika zawierała się w tych słowach, które wypowiedział do Ornano:

– Ach! Pan tutaj, mości marszałku. W Fontainebleau będę ścigał grubego zwierza. Musisz tam być.

Ornano, dość mocno zaniepokojony, chciał skromnie uplasować się na końcu kolumny, która się rozciągnęła poza murami miasta. Jednak król, coraz bardziej łaskawy, domagał się, by marszałek jechał przy nim.

– *Corpo di Cristo*<sup>1</sup>! – mruknął Ornano pod siwiejącymi wąsami. – Co znaczą te wszystkie wyróżnienia?

Szybko pokonano drogę i do Fontainebleau dotarto godzinę po południu. Polowanie miało się odbyć następnego dnia. Po przybyciu król zamknął się w swoich apartamentach. Muszkietierowie zostali rozstawieni na różnych posterunkach. Panowie rozlokowali się w zamku lub w mieście. Z wyjątkiem ożywienia, jakie wywołało przybycie dworu, wszędzie panował spokój, a i samo ożywienie opadła, gdy dowiedziano się, że król nie pojawi się przed kolacją. Już się przyzwyczajono do tych napadów melancholii wzmaganych chorobą, które czasami więziły Ludwika XIII w głębi jego pokoju, samego, przytłoczonego, godzinami zagłębianego w fotelu.

Ornano cały dzień przebywał poza zamkiem razem z markizem de La Valette, synem diuka<sup>2</sup> d'Éperon<sup>3</sup>. Wiadome było, że Éperon posiadał wielkie ambicje. To była rodzina spiskowców. Czy markiz mówił w imieniu swego ojca, czy może podejmował zobowiązania wyłącznie osobiste?

Faktem było, że w momencie, gdy o zmroku wrócili do zamku, La Valette i Ornano uścisnęli sobie dłonie.

– Podtrzymuję – powiedział La Valette. – Może pan zgłosić się do mnie i moich przyjaciół.

– Dobrze – odparł Ornano. – Pojutrze, w pałacu de Chevreuse, porozmawiamy o reszcie.

---

<sup>1</sup> *Corpo di Christo* (wł.) – Ciało Chrystusa.

<sup>2</sup> *Diuk* – wyższy tytuł arystokratyczny, ustępujący tylko wielkim księcom i księcom krwi.

<sup>3</sup> Jean-Louis de Nogaret de La Valette d'Éperon (1554-1642) – francuski arystokrata i wojskowy, walczył po stronie katolickiej podczas wojen religijnych, faworyt Henryka III, który uczynił go diukiem, brał udział w spisku, który doprowadził do zamordowania Henryka IV.

W tej chwili do Ornano podbiegł młody szlachcic i skłoniwszy się, powiedział:

– Panie marszałku, szukałem pana. Król chce, abyś razem z nim spożył wieczerzę.

Ornano zadrżał i głęboko westchnął. Zaszczyt, jaki czynił mu Ludwik XIII, rozdzierał mu serce.

Jednak po chwili przed jego oczami przesunął się obraz księżnej de Condé i Ornano wyszeptał:

– Biedny król! Nie jest wcale zły, ale dlaczego nas porzuca dla bycia na smyczy tego czerwonego obłudnika, który udusi nas wszystkich, jeśli my go nie udusimy?

Następnie wyprostował się i dodał:

– Nie sprzysięgam się przeciw Ludwikowi, lecz dla Gastona i przeciw Richelieu’mu!

Król już siedział przy stole. Wskazał krzesło Ornano, który usiadł i zaczął kolację od rozmowy sama na sam z Jego Królewską Mością, co było zaszczytem, którego bardzo zazdrościło mu dziesięciu bądź dwunastu szlachciców, którzy stojąc w jadalni, doznali innego zaszczytu, to znaczy mogli patrzeć jak król je zupy i mięsiwo. Wspomniane mięsiwa zostały wniesione w połączonych rondlach umieszczonych na noszach poprzedzanych przez oficera i halabardników.

Król jadł mało, w przeciwieństwie do Ornana, ale Jego Majestat wyrównywał ten brak apetytu wspaniałą łaskawością, z jaką traktował marszałka.

Rzeczywiście, król był miły, coraz bardziej promienny, schlebiał swemu gościowi, a przede wszystkim wyróżniał się opowiadaniem anegdot, co zadziwiło widzów zaskoczonych tym, że tego wieczora królowi tak rozwiązał się język.

Dzięki przemianom, które podziwiał sam Ojciec Joseph, król stopniowo zaczął mówić o różnych pobytach Henryka IV w zamku Fontainebleau, a także, między innymi, o tym wieczorze, kiedy został aresztowany pan de Gontaut-Biron<sup>1</sup>.

---

<sup>1</sup> Charles de Gontaut, książę de Biron (1562-1602), francuski arystokrata i wojskowy, marszałek Francji, za zdradę aresztowany w Fontainebleau i po procesie stracony.

– Słuchaj – powiedział Ludwik XIII – to właśnie w przedpokoju tej komnaty miało miejsce owe zdarzenie...

Król się uśmiechał. Ornano słuchał i wyrzucał sobie spiszek przeciwno tak dobremu księciu.

Dla każdego, kto mógłby czytać w duszy Ludwika XIII i odgadnąć okrutną grę, w którą król się bawił, ta scena byłaby straszliwa.

– Pan de Gontaut-Biron – kontynuował Ludwik XIII – był diukiem, parem<sup>1</sup> i admirałem Francji głównym marszałkiem obozów i armii króla, mego ojca, gubernatorem Burgundii i Bresse<sup>2</sup>. Otrzymał te wszystkie honory od swego dobrotliwego króla, który czuł dla niego wielkie przywiązanie, a jednak Biron sprzysiął się przeciw Henrykowi IV<sup>3</sup>...

– Lecz również – odparł zakłopotany i niepewny Ornano – pański znakomity ojciec srodze się zemścił.

– To prawda – stwierdził Ludwik XIII z uśmiechem – ale jednak do ostatniej chwili próbował ocalić marszałka. Wziął go na bok, stanął tutaj, w tej sali, i błagał go, by do wszystkiego się przyznał, obiecując mu życie, co ja mówię!, zapewniając go, że zachowa go na wszystkich stanowiskach. Biron przysięgał na Boga, że nic nie ma sobie do zarzucenia, choć godzinę wcześniej Sully przekazał memu ojcu listy Birona, w których w całej rozciągłości uwidaczniała się zdrada... Co na to powiesz, marszałku?

– Ja, Najjaśniejszy Panie? Nic. Słucham tylko jak w zachwycający sposób o tym opowiadasz.

– Dobrze. Wtedy król Henryk IV wyszedł, a Biron przeszedł do przedpokoju...

---

<sup>1</sup> *Par* – we Francji grupa najwyższych arystokratów, mających prawo zasiadać w Parlamencie.

<sup>2</sup> *Bresse* – dawna prowincja Francji, usytuowana w środkowo-wschodniej części kraju, na pograniczu regionów Burgundia-Franche-Comté i Owernia-Rodan-Alpy; w sensie geograficznym składa się z trzech części: burgundzkiej (obecnie wschodnia część departamentu Saône-et-Loire), części wchodzącej w skład departamentu Ain oraz części najmniejszej, stanowiącej obecnie zachodnią część departamentu Jura; należała do Sabaudii, w roku 1601 przekazana Francji.

<sup>3</sup> Cała ta wypowiedź Ludwika XIII jest dokładna i prawdziwa [przypis M. Zévaco].

Po tych słowach Ludwik XIII wstał od stołu. Ornano zostawiwszy niedokończony kompot, jaki przed nim postawiono, natychmiast także wstał, jak tego wymagała etykieta.

– Patrz – mówił król idąc do przedpokoju – patrz, marszałku, tu doszło do aresztowania. Biron wszedł tymi drzwiami, przez które ty wchodzisz, i skierował się ku tym znajdującym się naprzeciw. Tam spotkał Vitry’ego<sup>1</sup>...

– Tego samego, który na dziedzińcu Luwru aresztował Concini’ego<sup>2</sup>?

– Nie ma dwóch panów Vitry, marszałku. Tak, to ten sam, dzielny sługa. Vitry położył rękę na prawym ramieniu Birona i powiedział: „Król polecił mi zdać raport o pańskiej osobie. Proszę oddać szpadę. – Jak to! – krzyknął zaskoczony Biron. – Ty żądasz mojej szpady, Vitry? – Tak, panie, w imieniu króla. – Kpisz sobie, Vitry? – Panie, to król tak chce. – No cóż, pozwól, że to ja pomówię z królem! – Nie, panie, gdyż król wyszedł”. Wówczas Biron – mówił dalej Ludwik XIII – oddał swoją szpadę i powiedział, ciężko przy tym wzdychając: „Och, moja szpada, która tyle razy tak dobrze mi służyła...!”. Vitry zabrał go na statek, który zawiózł go do Bastylii. Czy wiesz, jak to wszystko się skończyło?

– Tak, Sire – odrzekł Ornano. Marszałek de Biron został skazany na ścięcie głowy na placu de Grève jako ten, który działał przeciw królowi i swemu państwu. Jego dobra skonfiskowano, odebrano mu godność para, a został też pozbawiony wszelkich honorów i dostojęństw.

– Masz dobrą pamięć, marszałku – rzekł król.

Tym razem jego uśmiech był tak ostry, że marszałek poczuł jak śmiertelny chłód mrozi jego żyły.

---

<sup>1</sup> Nicolas de L’Hospital, diuk *Vitry* (1581-1644) – francuski arystokrata i wojskowy, jako dowódca gwardii królewskiej w roku 1617 aresztował i z innymi zastrzelił Concini’ego, za co został mianowany marszałkiem Francji.

<sup>2</sup> Concino *Concini* (1569-1617) – włoski polityk, przybył do Francji w orszaku Marii Medycejskiej, szybko zdobywał tytuły i stanowiska, w roku 1610 został marszałkiem i ministrem Francji, aresztowany z rozkazu Ludwika XIII, który obawiał się jego potęgi, zastrzelony podczas prowadzenia go do więzienia, rzekomo za próbę wzywania pomocy.

– Tak – mówił dalej król – tak właśnie wyglądało jego skazanie. Ale mój ojciec, zawsze wielkoduszny, poczuł, jak budzi się w nim dawna sympatia do Birona, i zamiast kazać go stracić na placu de Grève, przekazał pisma, aby marszałek został ścięty nocą na dziedzińcu Bastylli. Co też zostało wykonane...

Ludwik XIII podszedł do Ornano, położył mu poufale rękę na ramieniu i śmiejąc się, rzekł:

– Mam nadzieję, że ta historia nie zaburzy pańskiego snu?

– Och, Najjaśniejszy Panie – odparł wesoło Ornano – choćby narażała mnie na koszmary, to jestem szczęśliwy, że usłyszałem ją od ciebie, Sire.

– Dobra lekcja historii, nieprawdaż...? Życzę dobrej nocy, marszałku. Co do mnie, to nie będę śnił, bowiem prawie nie śpię... dobranoc!

– Niech Bóg zachowa Waszą Królewską Mość! – powiedział Ornano, kłaniając się.

Kiedy się wyprostował, króla już nie było. Ornano otrząsnął się i mruknął:

– To wszystko mnie zmroziło. Chodźmy stąd!

Ruszył w stronę drzwi o których król powiedział, że stał w nich Vitry, aby aresztować Birona. Otworzył je i zobaczył porucznika muszkieterów i jego ośmiu ludzi.

– Hola! – zawołał Ornano, siniejąc. – Czy to dalszy ciąg historii, jaką opowiedział Jego Królewska Mość?

– Panie marszałku – odezwał się porucznik – proszę oddać swoją szpadę. W imieniu króla!

Ornano rozejrzał się wokół siebie błędnym wzrokiem. Był sam w przedpokoju, ale odgadywał, że za wszystkimi drzwiami stali zbrojni ludzie.

„Okrutny królu! Bawiłeś się ze mną jak kot z myszą. A ja litowałem się nad tobą! I już szukałem sposobu, aby cię uratować! – warknął w duchu, a głośno rzekł: – Panie, oto moja szpada. Teraz jedno pytanie. Czy możesz zostawić mnie wolnym na pięć minut, jako zastaw stawiając swój honor i z przysięgą, że do ciebie dołączę?

– Nie, panie – odparł porucznik, biorąc szpadę marszałka. – Jest pan moim więźniem. Proszę iść za mną.

– Panie – ciągnął Ornano – czy po drodze, w twojej obecności pozwolisz mi głośno przekazać polecenia memu słudze...?

– Nie, panie – odrzekł porucznik.

Ornano jęknął. Czubkami palców uderzył się w czoło.

– Panie – kontynuował jękającym się z wściekłości głosem – czy wiesz, czym synem jestem?

– Oczywiście – odparł zdziwiony muszkieter. – Jest pan synem świętej pamięci marszałka Ornano<sup>1</sup>.

– Dobrze. Czy wiesz, co mój ojciec robił swoim żołnierzom, kiedy nie wywiązali się ze swoich obowiązków? Sam ich zabił. Czy wiesz, że pewnego wieczora, przy obiedzie, odwiedził go szlachcic, który go kiedyś obraził? Czy wiesz, że wstał od stołu, zaszytował tego mężczyznę i umywszy ręce, dalej spokojnie jadł? Jeśli nie wiedziałeś, to ci mówię. Mówię ci również, że jestem synem mojego ojca. Nigdy nie stawaj mi na drodze...!

– Postaram się, panie marszałku – rzekł porucznik.

Kilka chwil później Ornano został zamknięty w karecie, która natychmiast odjechała. W nocy to więzienie na kołach zatrzymało się na dziedzińcu zamku Vincennes, a wkrótce potem drzwi lochu zamknęły się za więźniem<sup>2</sup>.




---

<sup>1</sup> Alphonse d'*Ornano* (1548-1610) – francuski arystokrata i wojskowy, pochodzenia korsykańskiego, wyróżnił się podczas wojen religijnych we Francji, w roku 1595 został marszałkiem Francji.

<sup>2</sup> *Więźniem* – Jean-Baptiste d'*Ornano* został aresztowany w Fontainebleau 4 maja 1626 roku, miesiąc po mianowaniu go marszałkiem, zmarł tam 2 września.

## Rozdział XXXIX

### Jego Wysokość książę Andegaweński

 azajutrz rano wielki łowczy przyszedł zdać raport Jego Wysokości. Chodziło o starego, dziesięciorogiego jelenia, chytrego jak diabeł, już pięć czy sześć razy dopadanego, który dotąd wymykał się sforze, zmuszając ją, by rzucił się za jakimś młodym jeleniem.

„Zwierzę obciążone latami, stary jeleń z dziesięcioma rogami, udający młodszego...”<sup>1</sup> opisuje La Fontaine w tym mrocznym i wspańiałym dramacie o śmierci jelenia, którą przedstawia ze swoją godną podziwu swadą zgodną z najszlachetniejszymi tradycjami tragedii. Wygląda na to, że zwierzę wielkiego łowczego było rodzonym kuzynem tego z La Fontaine’a. Król zawsze z namiętnością słuchał takich rzeczy. Okrutny z temperamentu, był z natury myśliwym. Gdy wysłuchał raportu, stwierdził z westchnieniem:

– Polowanie zakończone – powiedział z westchnieniem. – Wracamy do Paryża. „Skończone?” – dodał w myślach. – Nie, na śmierć wszystkich diabłów, nie, ono się dopiero zaczyna. Mamy już jednego. Teraz ruszamy po innych!”

Następnie król, wielki łowczy, szlachcice, muszkietierowie, wszyscy ruszyli w stronę Paryża.

Po dość długim czasie kawalkada przybyła do bramy Paryża, kiedy było południe. Wiść o aresztowaniu Ornana wywołała wielkie poruszenie w mieście i na dworze. Tłum szlachty zupełnie głośno wyrażał swe oburzenie. Królowa pospieszyła do Luwru, zadając sobie pytanie, czy ten piorun nie był dla niej zwiastunem jakiejś straszliwej burzy. Zjawił się tam również Monsieur, przeklinając, grząc, krzycząc, że każe uwolnić marszałka. Widać było też mocno zdenerwowanego

---

<sup>1</sup> Cytat pochodzi z tomu X, bajka I, zbioru *Bajek La Fontaine’a*, o tytule *Rozmowy z Madame de la Sablière*.

hrabiego de Chalais, bladego Louvigny'ego, zatroskanego markiza de La Valette, jak zwykle nieprzejednanych Boutteville'a i Beuvrona, Wielkiego Przeora, księcia de Bourbon biegającego od jednej grupki do drugiej, Césare'a de Vendôme, swoim zwyczajem zimnego i wężącego, z jakiej strony powieje wiatr. Do Luwru przybyło jeszcze czterech nowych szlachciców andegaweńskich, których Gaston Andegaweński przedstawił swemu królewskiemu bratu. Byli to: Chevers, Liverdan, Fontrailles i Bussière.

Nie było jedynie księżnej de Condé, dla której Ornano zaryzykował swoją wolnością i życiem.

Król w swych apartamentach słyszał pomruk całego tłumu tłoczącego się w przedpokojach Luwru. Książę Andegaweński jakoś przedostał się do brata wraz z czterema młodzieńcami, których chciał mu przedstawić. W małym saloniku, poprzedzającym gabinet króla, zastał królową. Właśnie w tej chwili otworzyły się drzwi gabinetu. To kanclerz d'Aligre<sup>1</sup> wychodził od króla. Rozwścieczony Gaston ruszył do niego, krzycząc:

– Czy to pan aresztował mego biednego Ornana?

W drzwiach gabinetu ukazał się król, a jednocześnie w drugim końcu salonu pojawił się bezgłośnie Richelieu.

Gaston nie dostrzegł ani jednego, ani drugiego i ryknął:

– Mów więc, panie, czy to ty...?

– Wasza Wysokość – wybelkotał d'Aligre – śmiem zapewnić Waszą Księżęcą Mość, że nie mam nic wspólnego z tym przykrym zdarzeniem...

– Panie d'Aligre – odezwał się suchy i ostry głos Richelieu – nie jesteś już kanclerzem...

– Wasza Eminencjo! – wyszeptał kanclerz, odwracając się do podchodzącego kardynała.

– Za dwa dni opuścisz Paryż i udasz się na odpoczynek do swoich dóbr La Riviere<sup>2</sup>...

---

<sup>1</sup> Étienne I d'Aligre (1559-1635) – francuski polityk, pełniące różne ważne funkcje za panowania Ludwika XIII, w tym kanclerza, którym był od roku 1624 do 1 czerwca 1626.

<sup>2</sup> La Rivière – wieś w gminie Pontgouin w departamencie Eure-et-Loire w północnej Francji, z zamkiem de la Rivière, na początku XVII wieku zbudowanego przez kanclerza d'Aligre, pozostawał własnością jego potomków do roku 1926.



– Wygnanie...!

– Tak – potwierdził twardo pogromca. – Wygnanie i pozbawienie profitów. Uważaj się za szczęśliwego, że nie spotyka cię coś gorszego. Gdy ma się zaszczyt bycia królewskim kanclerzem, nie krytykuje się sposobów mających na celu dbałość o dobro państwa. Może pan odejść.

D'Aligre wyszedł chwiejnym krokiem, zmiażdżony niełaską, która przed dwiema minutami wydałaby mu się nieprawdopodobną zmo-  
rą. Dźgnęły go, niby sztyletem, usłyszane na odchodnym słowa króla:

– Bardzo dobrze!

Pośród obecnych zaległa pełna zdumienia cisza. Richelieu zagrał o najwyższą stawkę. Gaston, blady ze wściekłości, jękający się, pijany gniewem, postąpił parę kroków w stronę kardynała.

– Czy to pan? Powiedz! Czy to pan aresztował mego przyjaciela, mego nauczyciela, mego ojca!?

Richelieu wyprostował się dumnie, obrócił się nieco w stronę królowej i rzekł:

– Tak, to ja!

Gaston przez chwilę milczał, tak go przybiło zuchwalstwo kar-  
dynała. Potem nagle głośno zawołał:

– Jezuita! Czerwony jezuita!

– Wasza Wysokość – powiedział Richelieu, blednąc – możesz bez-  
karnie próbować mnie upokorzyć, bowiem wiesz, że nie mam prawa  
zażądać aresztowania brata króla!

– Hola! hola! – krzyknął król, chwytając Gastona za ramię. – Wejdz  
tam, mój bracie!

Wepchnął go do gabinetu, gdzie sam wszedł, podobnie jak królowa,  
odprowadzona pełnym triumfu wzrokiem. Richelieu'go.

Gaston padł na fotel i zaczął głośno płakać.

– Sire – rzekła królowa – przybyłam błagać Waszą Królewską  
Mość, aby złagodziła srogość zarządzeń przeciw człowiekowi, który  
okazał mi tyle wierności. Lecz po tym, co słyszałam...

– Pani – warknął gniewnie Ludwik XIII – usłyszysz dużo więcej!

Zaczął iść w jej stronę z wyciągniętą ręką, zaciskając pięść, jakby  
ją także chciał aresztować.

– To ja, pani, kazałem pojmać twego Ormana. Ponad byciem wiernym pani, chciałbym, żeby się było również wiernym państwu i królowi! Tak, do diabła, ilu zdrajców – tylu uwięzionych, zanim sprawiedliwość zbada sprawę, zanim spadną głowy tych, choćby nie wiem jak wysoko umieszczonych ludzi, nawet takich, których należałoby poszukać przy samym tronie!

Gaston przestał płakać, podniósł głowę i od stóp do głowy przeszedł go dreszcz przerażenia.

– Pani przyjaciele! – mówił dalej król ze zjadliwą ironią. – Pani wierni przyjaciele spiskują, a wobec tego, że pani ich popiera, sama jesteś...

– Sire – przerwała mu Anna Austriaczka z najwyższą pogardą, która tak cudownie pasowała do jej wzniosłej piękności – sądzę, że zamierzasz znieważyć królową Francji. Chcąc oszczędzić tego wstydu już nawet nie memu królowi i małżonkowi, ale szlachcicowi, usuwam się do Val-de-Grâce...

– Nie, do wszystkich diabłów, nie! – ryknął Ludwik XIII ogarnięty wściekłą furią. – Zbyt dużo ludzi bywa w Val-de-Grâce. Zostanie pani w Luwrze! Odejdź do swych apartamentów i nie opuszczaj ich bez mego zezwolenia...!

– Zatem jestem więźniarką!

– Będziesz nią, jak zechcę! Pani...

– Żegnam, Sire! – przerwała mu dumna Hiszpanka. – Godność moja nie pozwala mi słuchać dłużej... Europa jednak będzie zdumiona, gdy się dowie, jak na dworze francuskim śmie się traktować córkę domu austriackiego.

Zanim Ludwik XIII zdążył odnieść się do tej słabo ukrytej groźby, Anna opuściła pole bitwy krokiem majestatycznym, jaki poeci zapożyczyli od obrażonej Junony opuszczającej Olimp<sup>1</sup>.

Gaston drżał na całym ciele.

Krótko mówiąc, mógł drzeć o swoją skórę. MONSIEUR wykozystał pozwolenie – nie ośmielimo się powiedzieć, że go nadużywał.

---

<sup>1</sup> *Junona* – w mitologii rzymskiej odpowiednik greckiej Hery – małżonki Jowisza (Zeusa); *Olimp* – najwyższa góra w Grecji, według mitów – siedziba bogów.

Faktem jest, że wobec gniewu królewskiego jego własny opadł i zniknął jak jedna z tych szarych chmur, które pochłania duża czarna chmura wznosząca się znad horyzontu. W obliczu gróźb wobec królowej powiedział sobie, że jego tytuł brata króla ledwo gwarantuje mu wolność. I przez jedną chwilę szukał sposobu, jak pomimo tego, że przybył, aby wyrwać Ornana ze szponów kardynała, mógł teraz tego samego Ornana zostawić jego smutnemu losowi.

Każdy dba o siebie, Bóg dba o wszystkich! Jest to wspaniała maksyma wymyślona przez wielkich mężów tej Ziemi.

„Ten biedny marszałek! – pomyślał Gaston. – Zrobiłem, co mogłem. Aby spróbować więcej, należałoby tknąć kardynała, czyli diabła...”.

Ludwik XIII spacerował nerwowo po pokoju, uderzając szpicrutą w swoje wysokie buty.

– Prosić pana kardynała! – rzucił w stronę drzwi, a potem zmienionym głosem, zwracając się do brata, rzekł:

– Teraz sprawa między nami, bracie!

– Sire – zabrał głos Richelieu, który po wejściu do pokoju jednym rzutem oka ocenił stan umysłu Gastona – pozwól, że zapytam Jego Księżęcą Mość, czym zasłużyłem sobie na jego gniew?

– Przyznaję się do tego, że przybyłem do Luwru wściekły na pana, panie kardynałe! – odparł Monsieur, a widząc, że król się zachnął, dodał: – I to nie z powodu twego Ornana, Sire!

„To wspaniałe!” – szepnął Richelieu w myślach.

Istotnie, ów zwrot „twego Ornana” był wspaniały, ale wspaniały z powodu tchórzostwa.

– Dobrze! – rzekł król, już nieco uspokojony tym wycofaniem się, podobnym do ucieczki. – Podaj nam prawdziwy powód twego straszego gniewu.

– Sire – odpowiedział Gaston – zostałem znieważony, lecz do dziś nie zostałem jeszcze pomszczony. Ja, twój brat, ja, syn Henryka IV, nie otrzymałem zadośćuczynienia, jakie otrzymałby najnędniejszy z mieszczan Paryża.

Ludwik XIII zmarszczył brwi i spojrzał kątem oka na Richelieu’go, który przygryzał wargi.

– Gdybym wiedział o tym, że marszałek jest oskarżony o działalność przeciw państwu – ciągnął z triumfem Gaston – pierwszy każałbym go aresztować. W każdym razie bardzo wystrzegalem się użyć tego pretekstu, aby wybuchło moje uzasadnione oburzenie. Wasza Królewska Mość dobrze zgaduje, że był to jedynie pretekst...

– Racz Wasza Księżęca Mość jaśniej to wytłumaczyć – rzekł Richelieu.

– Tak, wytłumacz się, Gastonie, jestem przekonany, że mylisz się co do biednego kardynała.

– Zaraz przekonasz się, Sire. Czy to prawda, kardynale, że dwukrotnie już wnosiłem skargę przeciw nauczycielowi fechtunku o nazwisku Trencavel? Człowiek ten swymi słowami, czynami i całym zachowaniem popełnił w stosunku do mnie zbrodnię obrazy majestatu, gdyż wiedział, kim jestem, więc w mojej osobie chciał obrazić króla, co jest oczywiste.

– Do licha, kardynale! Czy to prawda?! – warknął Ludwik XIII.

– Tak, Najjaśniejszy Panie. Potwierdzam, że otrzymałem takie skargi o których mówi Jego Księżęca Mość.

– A Trencavel jeszcze nie został aresztowany! – zawołał Gaston, wysoko unosząc głowę.

– Sire – mówił dalej Richelieu – wydałem rozkazy głównemu prewotowi. Jeżeli Trencavel nie został jeszcze aresztowany, to dlatego, że jest diabłem kutym na cztery nogi...

– Och, widzisz, Gastonie, kardynał dba o to, aby cię pomścić...

– Tak, Sire – odpowiedział książe, udając, że się jeszcze gniewa – i dziękuję Jego Eminencji.

– Wasza Księżęca Mość – rzekł Richelieu z uśmiechem – gdybyś był wczoraj na ulicy Courteau...

– Na ulicy Courteau? – przerwał Gaston z dreszczem lęku.

– Tak, Wasza Wysokość. Kosztowało to sześciu żołnierzy zabitych i tyłuż rannych. To dzieło tego przekłętego Trencavela. Wysłałem tam moją osobistą straż, żeby go zaaresztować.

– Ho! Ho! – wykrzyknął zaciekawiony król. – Ależ to naprawdę istny diabeł, jak powiadasz! Na święty siwy brzuch, to musiał być ciężka walka, nieprawdaż?

– To straszny człowiek, Najjaśniejszy Panie, ale wkrótce wpadnie w nasze ręce. Czy Wasza Księżęca Mość jest usatysfakcjonowany?

– Kardynale – odpowiedział Gaston, udając, że nareszcie dał się ugłaskać – nie wiedziałem nic o tych szczegółach. Do kaduka! Twoja osobista straż...! Tym bardziej cieszę się z tego, o czym mi powiedziałeś, że miałem okazję wyświadczyć ci pewną wielką przysługę.

– Mnie? – zapytał Richelieu nieufnie.

– Słucham, co to była za przysługa? – uśmiechnął się Ludwik XIII.

– Sire, czterech szlachciców z mego domu uratowało życie twego brata, nowego kardynała.

Richelieu uklonił się, ale tylko po to, by ukryć swe zmieszanie. Teraz on z kolei zdrzał ze strachu.

– Sire – mówił dalej Gaston – przypomniało mi to o prawdziwym celu mojej wizyty. Chodzi o czterech Andegawęńczyków, którzy spełnili obietnicę, o jakiej wspomniałem, i aby ich wynagrodzić obiecałem im, że przedstawię ich królowi.

– A więc każ im wejść... – rzekł król, a gdy Gaston zmierzył do drzwi, aby wypełnić rozkaz, król zapytał półgłosem: – Kardynale, czy mój brat rzeczywiście oddał ci przysługę ratując twego...?

– Sire – wyjąkał przerażony kardynał. – Wasza Królewska Mość chyba nie przypuszcza, że mógłbym przeciw rodzonemu bratu...

– Milcz, kardynale... Niech już nigdy nie usłyszę, że temu zagnanemu szlachcicowi mogło cokolwiek grozić...

– Sire – odezwał się w tej chwili książę Andegawęński – oto panowie: de Fontrailles, de Bussière, de Liverdan i de Chevers; wszyscy z dobrych rodów, wszyscy oddani duszą i ciałem królowi, którzy sami opowiedzą ci o ich walce, jeśli tylko raczysz im na to pozwolić.

Po tych zapewnieniach o ich oddaniu czterej kawalerowie zdrżeli. Pod groźnym wzrokiem kardynała uczuli, że bledną. Byli jeszcze bardzo młodzi, uważając się za prawdziwych obwiesi w tym działaniu, które zaakceptowali w interesie spisku – to znaczy Annaïs... Jeszcze nie wiedzieli, że życie składa się ze zrad.

– Panowie – rzekł król uprzejmym tonem, jaki czasem potrafił przybierać – podobno uratowaliście kardynała Lyonu przed jakimś niebezpieczeństwem, które mu groziło?

– Och, Sire, to naprawdę nic takiego! – rzekł Bussière.

– Było nas czterech przeciw czterem – dodał Liverdan.

– Nie warto o tym mówić – dorzucił Chevers.

– Opowiedzcie jednak. Czterech przeciw czterem. Ależ to już prawdziwa bitwa!

– Sire – powiedział Fontrailles, zabierając głos na znak swych towarzyszy – skoro Wasza Królewska Mość rozkazuje, oto jak miała się sprawa. Przed wyjazdem z Paryża Jego Eminencja przyszedł pożegnać Jego Książęcą Mość, który raczył nas czterech zaliczyć do grona swych dworzan. Wobec tego, że kardynał odjeżdżał jedynie ze starym sługą, Monsieur oświadczył nam, że okolice Paryża nie są bardzo bezpieczne dla samotnych podróżnych i polecił, abyśmy przez kilka lig eskortowali Jego Eminencję. Uczyniliśmy to, trzymając się poza wzrokiem kardynała, którego męstwo niewątpliwie zostałyby podważone przez tę pieczołowitość...

– Bardzo dobrze! – potwierdził Ludwik XIII uśmiechem i zarazem gestem.

– Przygoda spotkała nas na drodze do Sens, o trzy ligi od Fontainebleau. Już się ściemniało. Nagle jakieś pięćset kroków przed nami usłyszeliśmy krzyki. Był to służący Jego Eminencji, który wzywał ratunku...

– Ho! ho! – zawołał radośnie król. – Więc zrobiło się gorąco? Opowiedz mi o tym więcej.

– Wasza Królewska Mość sam to osądzi. Na pierwszy okrzyk spinyamy wierzchowce, pędzimy i przybywamy w samą porę. Kardynał Lyonu ukrył się na koniu w małym przydrożnym lasku i bronił się tam zaciekle przed czterema łotrzykami, którzy niewątpliwie chcieli go ograbić. Natarliśmy na drabów. Liverdan zatłukł jednego rękąjescią swej szpady; Chevers przekłuł na wylot drugiego, Bussière strzaskał trzeciemu głowę strzałem z pistoletu, czwarty zaś zbiegł, co sił poganiając swego konia. Gnałem za nim blisko przez pół godziny, jednak bezskutecznie. Następnie aż do Sens eskortowaliśmy Jego Eminencję, gdzie wymusiliśmy na nim, że będzie podróżować tylko za dnia i że udzieli nam swego błogosławieństwa. Potem zawróciliśmy i oto jesteśmy.

– Dzielni z was chłopcy – rzekł król. – Do licha, chciałbym zobaczyć tę potrawkę z rozbójników!

– Panowie – rzekł Richelieu przekonującym tonem – możecie li czyć na moją wdzięczność. Mój ukochany brat zawdzięcza wam życie. Nie zapomnę wam tego. Od dziś uważam was za przyjaciół i drzwi pałacu kardynała stać będą dla was zawsze otworem.

– A ja dodam: także Luwru – powiedział król. – Możecie odejść, panowie, a ty pozostań, mój bracie.

Czterej rycerze Annaïs wyszli. Gdy znaleźli się na ulicy, spojrzeli na siebie sobie z posępnymi i zaniepokojonymi minami.

– Panowie – zagadnął Chevers – co o tym myślicie?

– Powiadam, że gramy brzydką rolę – mruknął Fontrailles. – Ocaliliśmy kardynała Lyonu, to prawda, lecz nie stało się to z rozkazu Monsieur.

– A ja powiadam – dodał Bussière – że Monsieur, który kazał nam grać tę rolę, wydaje mi się być lichym panem.

– Ja twierdzę – zagrział Liverdan – że król, którego oszukujemy, sprawia na mnie wrażenie bardzo dobrego władcy. Powiadam wam, spiskujemy przeciw niemu, a więc nie mamy prawa przyjmować od niego dowodów jego łaskawości. Panowie, wplątaliśmy się w paskudną kabałę.

– To wszystko dla niej! – wykrzyknęli trzej pozostali.

Fontrailles dodał:

– Skoro już zaangażowaliśmy się, brnijmy do końca. Teraz należy rozpocząć od pozbycia się Trencavela...

– Ocalił jej życie – zauważył zamyślony Chevers.

– Tak – zazgrzytał zębami Bussière – to on odparł atak kardynalskiej straży. Księżna de Chevreuse, opowiadając nam o walce na ulicy Courteau, wydawała się popierać Trencavela.

– On ocalił jej życie! – powtórzył Chevers z westchnieniem.

– Tym większy powód, aby go zabić – mruknął Fontrailles. – Przysięgliśmy. Trencavel obraził nas. I oto teraz obraził nas powtórnie, bijąc się za nią, bijąc się przy jej boku! Panowie, zginęliśmy, jeśli pozwolimy żyć temu fanfaronowi.

– A więc szukajmy go! Znajdźmy!

– I zabijmy go!

Czterej młodzieńcy opuścili Luwr. Każdy z nich był blady z gniewu. Ogarnął ich duch zabójstwa. Zapomnieli, że zazdroszczą siebie nawzajem. Prowadziła ich ta sama dzika nienawiść. Szli podnieceni i ponurzy. Wiele ładnych dziewczyn uśmiechało się, widząc ich idących, młodych, pięknych, dzielnie wyglądających... ale wraz z nimi maszerowała śmierć.

\*\*\*

Musimy na chwilę wrócić do Luwru, w którym toczyły się te różne wydarzenia, o których musieliśmy szeroko opowiedzieć, ponieważ są one kluczowym elementem dramatu, którego jesteśmy narratorem.

Król, książę Andegaweński i Richelieu pozostali w gabinecie. Kardynał dał znak Ludwikowi XIII, który bez wątpienia go zrozumiał, ponieważ jego czoło, które na chwilę się wypogodziło pod gorącym oddechem młodości przy opowieści o napaści na drodze do Sens, to czoło znowu się zachmurzyło. Gorzki uśmiech wykrzywił mu usta. Podstępna myśl nawiązywała do królowej i wtedy zacisnęły się pięści. Potem spojrzenie, które Ludwik rzucił na Gastona, stało się złe, na Gastona, który teraz nie był jego bratem. Był mężczyzną, który miał stać się królem i poślubić Annę Austriaczkę, jeśli on, małżonek i król, umrze lub abdykuje.

„Są tylko dwa sposoby, by zniszczyć ten piekielny plan: aresztować zarówno królową, jak i twego brata, a następnie rozpętać skandal, który uderzyłby w monarchię burbońską ciosem być może śmiertelnym; lub pańskiego zmusić brata do poślubienia panny de Montpensier”.

Oto co znaczyło spojrzenie Richelieu’go rzucone na Ludwika XIII.

– Panie bracie – zaczął mówić król, jękając się bardziej, niż kiedykolwiek. – Czy powziąłeś nareszcie postanowienie? Czy zdecydowałeś się wreszcie na małżeństwo, które jest ze wszech miar pożądane? Jak się wydaje, pozostawiłem ci czas do namysłu. Skoro już tu jesteś, to ci mówię: już czas... wierz mi... już najwyższy czas! – kontynuował zduszonym głosem Ludwik, którego wzrok zapłonął ogniem. – W przeciwnym razie będę zmuszony przypuszczać, że masz jakąś



ukrytą przyczynę, by odrzucić nie tylko pannę de Montpensier, lecz nawet myśl o małżeństwie. Ową tajemniczą przyczyną...

Król nagle zamilkł. Omalże nie powiedział prawdy. Jęknął ze wściekłości, czemu odpowiedział jęk przerażenia Gastona. Richelieu, podobny do złego ducha, spoglądał z niewzruszonym spokojem na zmagania dwóch braci.

„Wszystko się wykryło! Wszystko stracone. Już po mnie!” – jęknął w duchu Gaston, a czyniąc nadludzki wysiłek, aby okazać pozorny spokój, rzekł: – Sire, kto ci powiedział, że nie chcę wstąpić w związek małżeński? Tam do licha! Niczego innego nie pragnę!

– Och! Och! – rzucił Ludwik XIII, ponownie czepiając się nadziei, że kardynał kłamał lub się mylił.

– Niech tylko Wasza Królewska Mość wybierze mi małżonkę po mej myśli – mówił dalej Gaston – a jestem w pełni gotów wziąć ślub.

Ludwik XIII podszedł do brata i biorąc go za rękę, rzekł błagalnym tonem:

– Mój bracie, czy mówisz prawdę?

– Przysięgam na Boga i na honor – odparł Gaston. – Przysięgam, że mówię prawdę.

Ludwik XIII zachwiał się, upadł na fotel, ukrył twarz w dłoniach i wybuchnął płaczem...

Richelieu skrzyżował ramiona. Teraz wbił wzrok w drzwi, którymi przed chwilą wyszła Anna Austriaczka. Spojrzenie tchnęło nienawiścią i groźbą. Gaston zadrżał: oczami wyobraźni widział szafot...

Bolesna radość, która wyrwała z króla szloch, nie wzbudziła w jego skamieniałym sercu echa litości ani braterskich uczuć, ale pozwoliła mu zmierzyć głębokość otchłani, w którą prawie się stoczył.

Po uspokoił się kilku minutach Ludwik XIII. Wstał z fotela i objął ramieniem szyję Gastona.

– Mój dobry bracie – powiedział z szerokim uśmiechem – więc chcesz zawrzeć małżeństwo?

– Jak najszybciej! – zawołał Monsieur, wybuchając śmiechem. – Jeśli kardynał zechce pobłogosławić ten związek, moja radość będzie zupełna. Znajdź mi żonę, Sire. Doprawdy, jestem już zmęczony...

– Kardynale, kardynale – zawołał Ludwik XIII, również się śmiejąc wesoło – prędko dawaj żonę temu osiemnastoletniemu staremu kawalerowi!

– No cóż, widzę tylko pannę de Montpensier... – odpowiedział kardynał z uśmiechem.

Uśmiech ten był zabójczy; głos zdawał się sączyć żółć.

– No i cóż ty na to powiesz, Gastonie? – zapytał król.

Książę Andegaweński, zdawał się namyślać przez chwilę, potem odpowiedział:

– A więc, Sire, skoro żądasz mej opinii, to muszę ci rzec, że wcale nie kocham panny de Montpensier...

– Ech, przecież nie chodzi tu o miłość! Trzeba myśleć o polityce. Nie rozumiesz tego, mój drogi. Mój bracie, zrób to dla kardynała... no i... dla mnie!

– Zatem dobrze, Sire... zgadzam się! Pozostaw mi jednak jeszcze parę miesięcy, abym mógł przyzwyczaić się do myśli o małżeństwie... z polityką...!

Ludwik XIII uściśnął brata w ramionach. Następnie zaczął szybko chodzić po gabinecie, rozwodząc się nad korzyściami tego związku; opowiadał o uroczystościach weselnych, jakie zamierzał wyprawić, oddając się radości, która dla jakiegoś obserwatora wydałaby się straszna, gdyż była wynikiem odpływu ogromnego bólu. Król jakby o dziesięć lat odmłodził, jego wzrok ożywił się, głos brzmiał dźwięcznie, mówił swobodnie... rozpromienił się.

Gaston miał wtedy zaledwie osiemnaście lat, był jednak mistrzem w sztuce udawania. Zaczął więc przesadnie narzekać, że jest zmuszony do poślubienia „panny Polityki”, a jego skargi były tak komiczne, że król co chwilę wybuchał śmiechem tak głośnym, że odgłosy tej szalonej wesołości rozeszły się po Luwrze, a pięćset czy sześćset osób natychmiast przybrało najbardziej radosne miny, chociaż większość z nich zapytywała się ze strachem, co znaczy ta cała radość.

– Panie kardynale – odezwał się nagle Gaston – skoro zawarliśmy pokój...

– Ależ, Wasza Książęca Mość, między nami nigdy nie było wojny.

– Właśnie to samo chciałem powiedzieć. Otóż, wobec tego, że jesteśmy ze sobą w zgodzie, chcę ci przypomnieć o pewnej danej mi przez ciebie obietnicy...

– O jakiej Wasza Książęca Mość?

– Obiecałeś mi pokazać twój zamek Fleury<sup>1</sup>.

Richelieu spojrział bystro na brata króla, ale ten był tak rozbawiony, tak naturalnie wesoły, że podejrzenie zaraz upadło. Ukłonił się więc uprzejmie i odparł:

– Wasza Wysokość jest dla mnie zbyt łaskaw...

– Ależ nie, na święty siwy brzuch! Chcę, żeby wszyscy zobaczyli, jak się przyjaźnimy. W jaki dzień chciałby pan przyjąć mnie w Fleury z kilkoma moimi ludźmi...?

– Dla Waszej Książęcej Mości znajdę jeden dzień...

– Dobrze! – zawołał Gaston. – Dziś mamy piątek, więc przybędę w poniedziałek.

– Gastonie – rzekł Ludwik XIII pełnym wzruszenia głosem – jesteś naprawdę dobrym bratem!

„W poniedziałek Richelieu zginie od naszych ciosów – rozmyślał książę Andegaweński. – W poniedziałek pozbędę się tego klechy! A wtedy...! Och! wtedy... kto wie, co może się stać?! Kto wie, czy nazajutrz tron Francji nie opustoszeje...!”

Uśmiechnął się do kardynała. Uśmiechnął się do brata. Była to jedna z tych okropnych scen, jaka rozgrywa się w rodzinach, których przeznaczenie wskazuje na tragiczny koniec.



---

<sup>1</sup> *Fleury-en-Bière* – pałac w gminie Fleury-en-Bière, w departamencie Seine-et-Marne, około 50 km na południe od Paryża i 12 km na północny zachód od Fontainebleau, zbudowany po roku 1550, wynajęty przez kardynała Richelieu w roku 1628, obecnie zabytek.

## Rozdział XL

### Od podziemi przy ulicy Courteau do poddaszy na placu Royale

**B**yć może Czytelnik nie zapomniał, że w pewnej chwili w piwnicach pałacu przy ulicy Courteau zamknięto różne osoby, a mianowicie: brata Corignana, barona de Saint-Priaca, młodą Mariette i więcej niż tuzin strażników Jego Eminencji.

W chwili, gdy brat Corignan, kładąc swoją wielką łapę na subretce<sup>1</sup>, zawołał: „Trzymam ją!” – baron de Saint-Priac był naturalnie pewny, że chodzi o Annaïs.

W naszych czasach powiedziano by, że ten szelma Rascasse tak mu zasugerował.

Saint-Priac zbiegł więc do piwnicy jak trąba powietrzna, rzucił się na osłupiałego mnicha, odtrącił go w kąt straszliwym uderzeniem pięści i ryknął:

– Nędzniku, osmieliłeś się podnieść na nią rękę!

Saint-Priac rzeczywiście był wściekły, że Corignan śmiał dotknąć Annaïs. A potem powiedział sobie, że prawie nadało mu to posmaczku wybawcy i rycerskiej postawy. Wynik tej rycerskiej interwencji był taki, że po kilku minutach Corignan miał oko otoczone żółtą obwódką, która przeszła w piękną ciemnoniebieską barwę, a końcu stała się nieomal czarna...

W półmroku, zalegającym piwnicę, Saint-Priac ujrzał postać niewiasty. Ukłonił się jej i rzekł:

– Pani, jestem szczęśliwy i dumny, mogąc wyrwać ją od wstrętnego towarzystwa tego nędznego klechy. Jestem na pani usługi, mogę cię odprowadzić do miejsca, które mi wskażesz i błagam cię, byś nie widziała we mnie nieprzyjaciela...

---

<sup>1</sup> *Subretka* – w komediach i farsach postać sprytniej służącej, wywodząca się z komedii dell'arte.

– Ach, panie szlachcicu – wdzięczyła się subretka – daję słowo, jest pan nad wyraz uprzejmy!

– Ten głos! – warknął zaskoczony Saint-Priac. – Te słowa!

– Nędzny klecha – mruzczał Corignan, zwilżając swoje oko winem. – Wstrętny kontakt! Ależ do wszystkich diabłów, to jest moja zdobycz! Brat Corignan nie jest pijany. Miał prawo...

– To nie jest ona! – ryknął Saint-Priac i chwyciwszy mnicha za gardło, zapytał: – Gdzie ona jest? Mów, podły zbój! Mów, albo nadeszła twoja ostatnia godzina! Gdzie ona jest...?

– Ależ, na śmierć Boga, to ona! – wybełkotał Corignan, wskazując na Mariette.

– Łajdaku! Darłeś się, że ją trzymasz! Dawaj mi ją tu...!

– Dość! – zawołał mnich majestatycznym tonem. – Trzymałem ją, to pewne, ale teraz już jej nie trzymam! Puść mnie, bo mniesz mi mój habit! Puść, albo cię wyklnę! *Excommunicabo vobis*<sup>1</sup>!

– Ten nędznik jest pijany do nieprzytomności! – zaklął Saint-Priac i zaczął przeszukiwać piwnice.

– Pijany? – rzekł Corignan. – Być może, ale dlaczego zaraz do nieprzytomności? Zdaje mi się, że jestem przytomny i, tylko że moje lewe oko czymś się zakleiło... Sam nie wiem, czym... Nic jednak nim nie widzę. Ach, oto moja skruszona grzesznica... Kończ, moja córko, kończ spowiedź, którą przerwał ten źle wychowany szlachcic.

– Ależ mnie się wydaje, że jest bardzo dobrze wychowany – stwierdziła Mariette.

– Zgoda, ale mimo to wypowiadaj się.

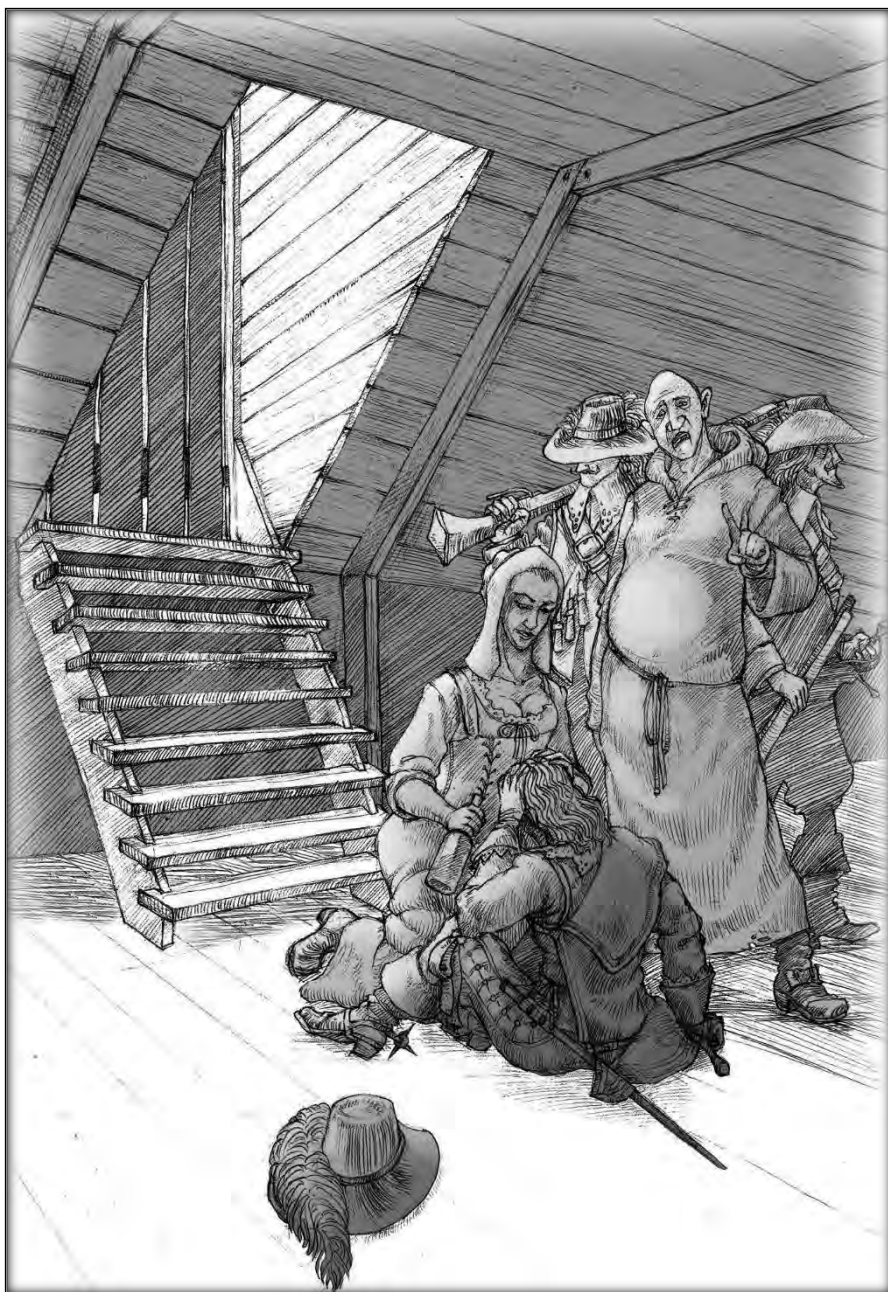
To była jego idée fixe<sup>2</sup>. W tym czasie Saint-Priac wściekły przebiegał piwnice pełen energii zrodzonej z rozpacz... Pomagali mu w tym strażnicy. Wkrótce stało się jasne, że w tych piwnicach poza Corignanem i subretką nie było nikogo. Wściekłość Saint-Priaca sięgnęła zenitu.

– Ach, ten Rascasse! – wrzasnął. – Diabeł! Wypruję mu flaki, wybebeszę go, wydrę mu serce z piersi i wraz z wątrobą rzucę moim psom na pożarcie. Czekaj, ty łotrze, ty, zdrajco!

---

<sup>1</sup> *Excommunicabo vobis* (łac.) – Wyklnę was, powinno być *vos*.

<sup>2</sup> *Idée fixe* (fr.) – natrętna myśl; myśli i zamierzenia najczęściej nierealne, ale zaprzatające umysł, często w sposób chorobliwy.



Mariette uklęła obok niego, próbowała zmusić go do wypicia odrobiny wina.

Saint-Priac rzucił się na schody.

– Wybebeszyć Rascasse’a? – wybełkotał Corignan. – Zaczekaj na mnie! Ja także chcę...!

Nagle Saint-Priac wydał straszliwy ryk. Dotarł do drzwi i stwierdził, że są zamknięte na klucz. Zbiegł na dół, zachwiał się i nieprzytomny osunął się na ziemię.

Właśnie doświadczył jednego z tych zawodów, które bardzo łatwo mogą zabić człowieka... Mariette uklękła obok niego, próbowała zmusić go do wypicia odrobiny wina, potarła mu skronie, w końcu próbowała go przywrócić do życia, szepcząc:

– Biedny młodzieniec...!

– Łajdaczka! – warknął Corignan. – Woli wypowiadać się u tego łotra...!

\*\*\*

Tymczasem Rascasse, który był obecny przy odejściu Trencavela wraz z Annaïs, po posłuchaniu przez chwilę wrzasku, jaki czynili zamknięci strażnicy, chcący wyważyć drzwi, zaczął rozmyślać nad sytuacją, którą zresztą sam stworzył i było to bolesne rozmyślanie.

– Jeśli tym razem nie zawisnę na stryczku – mówił do siebie – będzie to dowodem, że w całej Francji zabrakło konopi. W takim przypadku będzie mnie czekało łamanie żywcem kołem lub ścięcie, chyba że zostaną rozszarpany przez cztery konie, jak to widziałem w młodości w przypadku Ravaillica. Bez wątpienia, piękne widowisko.

Rozpacz szpiega była głęboka, lecz mimo wszystko nie stracił całej nadziei.

Była już późna godzina. Pilnie należało podjąć jakąś decyzję.

– Spróbujmy! – mruknął nagle Rascasse.

Zaczął szarpać na sobie ubranie w taki sposób, że wkrótce wyglądał, jakby otrzymał co najmniej dwadzieścia pchnięć sztyletem lub rapierem.

Następnie połamał swój rapier, pozostawiając w skórzanej pochwie jedynie rękojeść z niedużym odłamkiem. Nie zadowolając się tym, chytry Rascasse, posuwając się aż do otworzenia „lokalnego kolorytu”, umoczył rękę w kałuży krwi i bardzo zręcznie posmarował sobie nią

twarz. Wtedy dopiero ruszył do drzwi wiodących do piwnic, spoza których dobiegały ryki uwięzionych. Stanąwszy pod drzwiami, zaczął wydierać się co sił, wydając naraz kilka odmiennych głosów, co wyglądało na zażartą walkę. Po jego pierwszych wrzaskach w piwnicy ucichło łomotanie.

„Dobrze! – powiedział do siebie. – Pan de Saint-Priac i jego akolici słuchają mnie”. – Ha, nędzny pomocniku, zabiję cię! Ha, głupcze! Ha, łajdaku! Ha, wisielcze! Masz, piekielny Trencavelu! Masz! masz! Chryste Panie! Trzech na jednego! Na pomoc! Na pomoc! Na brzuch papieża, mój rapier złamany! Trzymają mnie! Na pomoc, panie de Saint-Priac! Do mnie, Corignan! Ach! mordują mnie! Ja... Och...!

Nie ma potrzeby dodawać, że tym słowom towarzyszyło wściekle tupanie nogami, szcęk bronii, jęki... Niczego tu nie brakowało. Po ostatnim okrzyku, by dopełnić tę iluzję, ciężko padł na ziemię i czy to z emocji, czy ponieważ jego głowa walnęła o kamienną posadzkę, prawie stracił przytomność.

„Ejże? – pomyślał. – Czyżbym na serio się zabił?”.

Wkrótce, będąc nieco spokojniejszy, skradał się cicho w stronę przedsionka, przekroczył trupy i rumowiska, wybiegł na ulicę i dostrzegł, że już jest jasno. Ze dwudziestu mieszczan, wystraszonych i białych, przyglądało się pałacowi, lecz z daleka, nie mając odwagi podejść bliżej. Rascasse mijał grupki, które usuwały się na bok na widok mężczyzny zalanego krwią. Gdy stanął na placu Royale, kardynał wyjeżdżał, chcąc właśnie udać się do Luwru.

Rascasse nie tracił czasu. Bardzo dobrze rozumiał, że jego życie zależało w tej chwili od szybkiego i zuchwałego kłamstwa. Ruszył pędem w stronę dowódcy policji. Po wysłuchaniu raportu szpiega, ten urzędnik popędził na ulicę Courteau razem z towarzyszącą mu liczną eskortą.

Jeśli chodzi o Rascasse'a, to udał się on do Luwru. Upewniwszy się, że kardynał jeszcze stamtąd nie wyszedł, stanął przed bramą.

Kilku żołnierzy pełniących straż, opartych na pikach, z ciekawością przypatrywało się Rascasse'owi, który nie zważał na to i obserwował wewnątrz królewskiej fortecy.



Po upływie pół godziny na dziedzińcu wszczął się wielki ruch. Ukazał się Richelieu i ruszył w kierunku swej lektyki pośród tłumu dworzan cisnących się wokół niego, których by nie było przy Ludwiku XIII.

Rascasse szybko zbliżył się do warty chwiejnym krokiem i mdlejącym głosem wyszeptał:

– Towarzysze... na Boga... szklaneczkę wina... Ach! siły mnie opuszczają... Umieram...

Upadł na ziemię. Wartownicy pospieszyli na ratunek. Podeszło również kilku panów, aby zobaczyć, co się stało.

Wkrótce lektyka Richelieu'go ruszyła i podążała na zwodzony most, aby opuścić Luwr. Richelieu zauważył tłum tłoczących się ludzi. Wychylił się z lektyki i ujrzał rannego, a właściwie umierającego, którego strażnicy nieśli do wartowni.

– Rascasse! – szepnął. – Ho! Ho! Musiało być gorąco...

Kardynał wysiadł z lektyki i wszedł do wartowni. W tej samej chwili szczęśliwym zbiegiem okoliczności, umierający otworzył oczy, a ujrawszy Jego Eminencję, zdołał, choć z wielkim wysiłkiem, stanąć na nogi, czym zyskał szacunek dla swej osoby.

– No i co? – zapytał krótko Richelieu.

– Och, Wasza Eminencjo, och!

– Czy Trencavel aresztowany? A panna de Lespars?

– Och, Wasza Wysokość, och...!

– Gdzie jest Saint-Priac? Gdzie jest Corignan...?

– Aj, Wasza Eminencjo, aj!

Richelieu przez chwilę zachował milczenie. Jego jasne spojrzenie zwarło się z błędnym wzrokiem rannego. Dziwnym jakimś głosem, który jak dzwon pogrzebowy, zabrzmiał w wyćwiczonych uszach szpiega, powiedział:

– Ach! biedny Rascasse, niechybnie umrze!

– Wasza Eminencjo – przemówił Rascasse, nagle odzyskując przytomność – opowiem wszystko.

Kardynał, nie zważając na zgorszone miny obecnych przy tej scenie, kazał szpiegowi wejść do lektyki. Rascasse, przerażony tym nad-

miernym zaszczytem, może bardziej niż gniewem kardynała, padł z jękiem na aksamitne poduszki. Richelieu kazał opuścić firanki. Lektyka ruszyła w stronę placu Royale.

– Teraz opowiadaj! – powiedział zimno kardynał. – Przede wszystkim, kto cię tak urządził?

Rascasse zadrzał z radości: były to słowa, na które czekał z łękiem; świadczyły one o urzędowym uznaniu jego sytuacji rannego, który z narażeniem życia, po bohatersku walczył za sprawę swego pana.

– Ech, Wasza Eminencjo, któż inny, jeśli nie ten przeklęty Trencavel? Ten człowiek jest jak rozwścieczony diabeł! Aby się mu przeciwstawić, potrzebowałem całej sztuki robienia bronią, z której jestem dumny, i całego poświęcenia, którym się szczycę. Lecz nie był sam. Zjawił się również jego pomocnik... i ten także posiekał mnie jak słoninę! To jeszcze nie wszystko, Wasza Eminencjo! Ona również tam była! – dodał głucho Rascasse.

– Panna de Lespars...?

– Ach, Wasza Eminencjo, nie chciałeś mi wierzyć! To ją należało zabić! Montariol się nie liczy! Trencavel jeszcze ujdzie! Ale ona! Gdy natarła na mnie, ze szpadą w rękę, zobaczyłem śmierć. Jest warta dzieściu naszych wymuskanych mydłków! Musiałem uciekać, Wasza Eminencjo. Dodam, że jak długo będzie przebywać w Paryżu, nie będę mógł spokojnie żyć... Co ja mówię? Drżę o życie Waszej Eminencji.

– Więc biła się na szpady? – zapytał Richelieu posępnym głosem.

– I to jak walczyła, Wasza Eminencjo!

– Opowiedz mi o tym i o niczym nie zapomnij.

– Rzecz tak się miała: pan de Saint-Priac i jego ludzie wyłamali drzwi pałacu. Tymczasem Corignan i ja wdarliśmy się do ogrodu, po prostu przełaząc przez mur. Miałem swój plan. Chciałem zaatakować od tyłu, podczas gdy pan de Saint-Priac miał przypościć szturm od frontu. Tak więc w chwili, gdy cała akcja przeniosła się do przedsiionka pałacu... Aj! aj! Wasza Eminencja wybaczy... ale te rany...

– A więc jesteś niebezpiecznie ranny?

– Nie wiem, czy niebezpieczne, nie sędzę, ale pieką... jedna, dwie, cztery, pięć, tak, na honor, otrzymałem pięć ran i moją jedyną po-

ciechą będzie, jeśli umrę, że otrzymałem je w służbie Waszej Eminencji.

– Mów dalej, Rascasse...

– O czym mam mówić, Wasza Eminencjo? O tym, że za Waszą Eminencję dałem się zranić?

– Nie, kontynuuj swoją historię.

– Oczywiście. Tak więc wdarliśmy się do pałacu i pospieszyliśmy do przedsionka, gdzie toczyła się bitwa. Znaleźliśmy się na korytarzu, ciągnącym się wzdłuż całego pałacu. Po prawej stronie ujrzałem otwarte drzwi, drzwi wiodące do piwnic, Wasza Eminencjo. Corignan zaczął zerkać w tamtą stronę. Wasza Eminencja wie o tym, że lubi on dobre wino. Ech, ja też je lubię, ale Wasza Eminencja przyzna, że ten moment został źle wybrany. Obserwuję to u Corignana, z pewnością odważnego sługi, ale niepotrafiącego rozpoznać właściwego momentu. To cała różnica między mną a nim. Ja potrafię wybrać odpowiedni moment.

– Co dalej? Streszczaj się – przynaglił go kardynał.

– Dobrze. Otóż w chwili, gdy zacząłem prawić morały temu zacnemu kompanowi, nagle jakiś mężczyzna i jakaś kobieta wpadli na nas od tyłu, odtrącili nas gwałtownie i rzucili się w stronę piwnic. „To oni! – wrzasnął Corignan. – Kto taki? – Trencavel i Annaïs! – odpowiedział Corignan. – Na nich!”. Zanim zdołałem go powstrzymać teraz z kolei Corignan popędził do piwnic, czy dlatego, że wzięła górę jego odwaga, czy też dlatego, że nie mógł już oprzeć się winnym zapachom, które podnosiły się aż do jego nosa, a Wasza Eminencjo wie jaki długi nos posiada nieustraszony Corignan...

– Skończysz wreszcie...?

– Tak, Wasza Eminencjo. Prawda przede wszystkim. Zamykam drzwi piwnicy, w przeświadczeniu, że dwoje straszliwych wrogów Waszej Eminencji już wpadło w pułapkę. Biegnę do przedsionka, spotykam pana de Saint-Priaca, który właśnie głowił się nad tym, gdzie ma szukać Trencavela. Wiodę go do drzwi piwnicy. Pan de Saint-Priac schodzi, a za nim schodzą jego ludzie. Gdy sam chciałem zejść, nagle podskoczył jakiś mężczyzna, który zamknął drzwi na klucz,

a potem rzucił się na mnie ze szpadą w rękę. Był nim pomocnik Montariol.

– No, a Trencavel?! A Annaïs? – zagrzemiał kardynał, zżerany niepokojem.

– Wasza Eminencjo, Corignan pomylił się. Nie było ich w piwnicy, bowiem zaledwie skrzyżowałem broń z Montariolem, nagle pojawił się sam mistrz fechtunku. Broniełem się, jak mogłem najlepiej, ale zalany krwią, ranny, czułem, że siły już zaczynają mnie opuszczać, gdy rzucił się na mnie trzeci przeciwnik. To była ona, Wasza Eminencjo!

Rascasse uczynił małą pauzę, jak w teatrze, a potem rzekł uroczystym tonem:

– Dałbym się tam zarąbać, gdybym miał broń. Musiałem jednak uciekać, tak, Wasza Eminencjo, uciekać, bowiem mój rapier się złamał!

Rascasse wyciągnął z pochwy odłamek rapieru, który starannie zachował.

– Oto dowód – wyszeptał.

Potem odchylił się w tył i... zemdłał.

Lektyka przybyła na plac Royale. Rascasse, choć niby zemdłał, przez na wpół otwarte powieki przyglądał się ponurej twarzy kardynała. Równie dobrze mógł otworzyć oczy, gdyż Richelieu o nim zapomniał. Kardynał rozmyślał o tej scenie, która miała miejsce w gabinecie króla; myślał o Ornano, którego Ludwik XIII zabrał do Fontainebleau, aby tam go aresztować – nie odważając się wydać rozkazu zatrzymania w swoim Luwrze: myślał o Annie Austriaczce, którą uwielbiał dziką namiętnością, i która pokonana, prawie jak więźniarka, ponownie zmiażdżyła go swoją pogardą; myślał o księżnej de Chevreuse, o Vendôme'ie, Bourbonie, Gastonie Andegawęńskim, o wszystkich spiskowcach, którzy podążali jego śladem jak sfora wilków gotowych rzucić się na niego przy pierwszym fałszywym kroku; myślał o Annaïs, która wciąż mu się wymykała, o Trencavelu, którego nagle na jego drogę rzucił rodzaj nieznanego fatalizmu; w końcu myślał o tym, że wojna aż do tego dnia przytłumiona, została wreszcie niemal otwarcie wypowiedziana i że musi w niej zwyciężyć lub umrzeć.

Przerażony Rascasse starał się wyczytać na tej wzburzonej twarzy jakąś wskazówkę tego, która pozwoliłaby mu powiedzieć, jaki los go czeka. Zdawał sobie sprawę, że w myślach kardynała był nikim, ale wiedział też, że jeżeli wybuchnie burza, to on jednym gestem wszechmocnego pana zostanie zmielony na pył.

„Bez wątpienia moje kłamstwo było arcydziełem sprytu, zresztą jakich kilka stworzyłem w swoim życiu – rozmyślał nieszczęsny Rascasse. – Któż jednak może wiedzieć, jakie wrażenie wywarło to wspaniałe kłamstwo na wybitnym mózgu, w który jej wlałem? Ach! biedny Rascasse’ie, zdaje mi się, że już nigdy więcej nie będziesz kłamać! Hm! – zmarszczył brwi... nad czym tak dumał? – Czy zamierza wtrącić mnie do Bastylli, albo skazać na in pace Corignana? A może po prostu wysłać na szubienicę? Mój Boże, tak, to całkiem możliwe...”.

– Rascasse – zabrał głos Richelieu – jesteś dobrym sługą! To nie twoja wina, że zostałeś pokonany, gdyż zbyt dużo było wrogów. Weź tę sakiewkę i chodź za mną do mego gabinetu.

Rascasse zdrzął ze strachu i tym razem naprawdę bliski był zemdlenia. Jednakże kardynał uśmiechał się do niego. Jednakże sakiewka, którą mu podawał, nie była mitem, ale Rascasse, szpieg z urodzenia, świetnie znał tego znakomitego policjanta, który był jego panem. Miał straszne wrażenie, że Richelieu tym uśmiechem go zabija. Drżącą ręką wziął sakiewkę i wybełkotał:

– Wasza Eminencjo, cokolwiek bądź się później stanie, nigdy nie zapomnę hojności Waszej Eminencji. Weź moje życie, jeśli będzie to potrzebne do powiększenia twej chwały!

Te pełne pokory słowa w ustach człowieka, który w końcu do tej pory wiernie mu służył i czasami dawał dobre rady, bardziej wzruszyły Richelieu’go, niż cała swada i kłamstwa Rascasse’a. Dlatego powstrzymał się od wydania rozkazu, jaki miał już wydać swoim strażom i ograniczył się jedynie do słów:

– Dobrze. Chodź za mną!

„Ejże – pomyślał Rascasse – czyżbym wciąż jeszcze był w ła-skach?”.

Zważył w rękę sakiewkę i, uznawszy ją za ciężką, łatwo przekonał się, że wszystkie te złowrogie postanowienia, które niby wyczytał w twarzy Jego Eminencji, były tylko grą jego przerażonej wyobraźni.

Dlatego radośnie wspiał się na tajne schody, przeznaczone tylko dla Richelieu'go. Ale kardynał powiedział: „Idź za mną”. I Rascasse podążył za nim, pomimo wściekłego wyrazu twarzy lokaja odpowiedzialnego za pilnowanie tych schodów; szedł dalej, być może zapomniany przez Richelieu'go.

Kardynał zatrzymał się w komnacie, w której pracował zazwyczaj jego osobisty sekretarz.

– Bertouville – rzekł Richelieu głosem, którego gorzki ton nie uszedł uwadze wyczulonego ucha Rascasse'a – w przyszły poniedziałek wydaję obiad we Fleury...

„Coś takiego!” – pomyślał Rascasse, który stojąc w kącie jeszcze bardziej zmalął, choć już był tak mały.

– Już jutro wyślij tam służbę, aby wszystko było w porządku. Ma być gotowe na poniedziałek w południe. Chcę, żeby wszystko było zrobione na wielką skalę.

– Czy Wasza Eminencja zechce mi powiedzieć, ilu gości ma zamiar przyjąć?

– Powiedzmy, że z tuzin, Bertouville – odpowiedział Richelieu tym samym gorzkim tonem.

– Jeszcze słowo – ciągnął sekretarz. – Wiem, jak Wasza Eminencja trzyma się przepisów etykiety i hierarchii... Czy raczy mi podać stanowiska towarzyskie i społeczne zaproszonych?

Richelieu zawahał się na chwilę, potem, uśmiechając się tak, że Rascasse zadygotał ze strachu, rzekł:

– W poniedziałek mój zamek Fleury zostanie zaszczycony obecnością Monsieur, który obiecał mi przyprowadzić swoich przyjaciół...

– Brat królewski we Fleury! – szepnął Bertouville.

„Ho! ho!” – pomyślał Rascasse. – Czyżby Jego Eminencja miałby się pogodzić z partią królowej? Albo... czyżby... biedny królewski brat...!

Rascasse nie śmiał dokończyć swej myśli i zamknął oczy, jakby porażony myślami, jakie przeleciały mu przez głowę, podobne do czerwonych błyskawic.

Kardynał wszedł do gabinetu. Rascasse, mający rozkaz iść za nim, także wszedł – atom podążający w śladzie meteoru.

– Pan de Saint-Priac jest tu i usilnie prosi o wysłuchanie – oznajmił odźwierny. – Razem z nim jest wielebny brat Corignan.

– Wpuść ich – rzekł Richelieu.

– No i bęc! – mruknął Rascasse, wzdrygając się.

Kardynał usiadł przy stole w postawie, którą lubił przyjmować, przeglądając jakieś papiery. Saint-Priac, nieruchomy, czekał. Corignan rzucał groźne spojrzenia na Rascasse’a, którego dostrzegł stojącego w kącie.

– Panie – rzekł Richelieu, nagle podnosząc głowę – wytłumacz mi, jak to się stało, że cię pokonano?

– To bardzo proste – odparł zimno Saint-Priac. – Wasza Eminencja został zdradzony przez Corignana i Rascasse’a.

– Ja! – zawył Corignan. – Ja zdrajcą! Coś takiego! Po tak lojalnej służbie dla Waszej Eminencji, zgotowano mi taką boleść, każąc wysłuchać owe oszczerstwo, które...

– Milczeć! – rzekł Richelieu. – Przywołać Rascasse’a!

– Ależ ja tu jestem, Wasza Eminencjo – zauważył mały szpieg. – Wasza Eminencja kazał mi wejść do gabinetu. Oczekiwałem w przedpokojach i wszedłem razem z tymi panami.

– *Verum enim vero!* – przytaknął Corignan.

Dwaj nicponie zamienili ze sobą spojrzenia i zrozumieli się; musieli działać wspólnie, gdyż chodziło tu o ich głowy.

– Wytłumacz się, Saint-Priac – ciągnął Richelieu.

– Wasza Eminencjo, przypuściłem atak na pałac przy ulicy Courteau, w którym znajdował się fehmistrz Trencavel i ta... osoba... wiesz, Wasza Eminencjo, zresztą... kto! – dodał Saint-Priac ze wściekłym uśmiechem. – Wyłamałiśmy drzwi... już ich miałem... nagle zniknęli. Wtedy to Rascasse upewnił mnie, że buntownicy zamknęli się w piwnicach.

– *Intra cavibus*<sup>1</sup> – rzekł Corignan, przesuwając językiem po wargach.

---

<sup>1</sup> *Intra cavibus* (łac.) – w jaskiniach, Corignan użył słowa łacińskiego słowa *cavus*, coś wydrążonego, jaskinia, jama, od którego pochodzi francuskie *cave*, piwnica, użyte przez Saint-Priaca, po łacinie piwnica to *vinarium*.

– W piwnicach – kontynuował Saint-Priac – gdzie zszedłem z moimi ludźmi. W piwnicach, których drzwi zostały zamknięte na dwa spusty zaraz po tym, jak tam weszliśmy. W piwnicach, z których zostałem uwolniony przez pana dowódcę policji.

– Posłanego przeze mnie po mojej walce z Trencavelem i z Annaïs de Lespars! – wykrzyknął z triumfem Rascasse.

– Więc walczyłeś z nimi, ty! – rzekł Saint-Priac.

– Czy nie słyszał pan odgłosów walki?

– Ja je słyszałem! – wtrącił się Corignan. – Słyszałem nawet okrzyk bólu panny de Lespars, którą ty musiałeś zranić, Rascasse.

– Na honor, to bardzo możliwe – rzekł Rascasse.

Saint-Priac zbladł... zbladł na myśl, że Annaïs mogła być ranna. Jednak prawie natychmiast pokręcił głową. Był przeświadczony, że obaj szpiedzy bezczelnie łżą.

– Wasza Eminencjo! – wykrzyknął. – Ta para łajdaków zdradza cię! Dowodem na to jest, że w lochu, do którego zostałem wepchnięty przez Rascasse'a, zastałem jedynie pijanego Corignana...

– Pijanego! – oburzył się kapucyn. – Panie baronie, obrażasz Kościół!

– Bynajmniej, bezwstydnym szelmo...! Powiadam, że znalazłem cię pijanego! Uganiałeś się za jakąś dziewczką, która trafiła do piwnicy nie wiem jak, ani dlaczego...

– Sprawiedliwe nieba! – wykrzyknął Corignan, wznosząc ku sufitowi swe olbrzymie ramiona. – Po grzechu łakomstwa miałbym, według pana, popełnić grzech lubieżności! To za wiele! Wasza Eminencjo, brat Corignan jest cierpliwy, ale nie może pozwolić...

– Dobrze już, dobrze! – przerwał Richelieu tonem ostrym jak brzytwa, który nagle powstrzymał wielkie wzloty elokwencji mnicha. – Wejdźcie tam obaj i zaczekajcie.

Kardynał wstał, sam otworzył drzwi, przeszedł z dwoma szpiegami przez jedną salę, i kazał wejść do następnej komnaty, gdzie ich pozostawił.

Spojrzeni na siebie, całkiem bladzi. „Już po nas! – mówiły ich spojrzenia.



Richelieu wrócił do gabinetu, w którym oczekiwał na niego Saint-Priac.

– Panie – rzekł kardynał – nie mówmy już więcej o tej sprawie. Polecę komuś innemu zdobycie posiadanych przez pannę de Lespars dokumentów. Jest rzeczą oczywistą, że to, co było dla pana przeznaczone, czyli ręka tej szlachetnej panny, zostanie przekazana temu drugiemu. Może pan odejść. Jest pan wolny.

Saint-Priac skurczył się pod tym ciosem. Przez kilka chwil pozostał nieruchomy, ogarnięty takim przerażeniem, że jego twarz spłynęła potem. Nagle jednak się wyprostował.

– Wasza Eminencjo, ja nie odejdę! – zawołał. Był blady jak śmierć.

– Co to ma znaczyć? – warknął Richelieu.

– To znaczy, Wasza Eminencjo, że zaprzedałem ci się duszą i ciałem. Masz prawo mnie zabić, lecz nie wypędzać.

– Cóż więc chcesz, żebym z tobą zrobił? Pytam cię, jaką przysługę mi wyświadczyłeś?

– Dałem ci, Eminencjo, list, który napisałeś do królowej – odparł Saint-Priac.

Richelieu mocno pobrał. Wyciągnął rękę, zamierzając uderzyć w dzwonek.

– Wasza Eminencjo – zawołał Saint-Priac, padając na kolana. – Ty, który czytasz w sercach, jak w otwartych księgach, przeczytaj także w moim. Nie znajdziesz tam nawet intencji wyrzutu, który by cię obrażał, nie znajdziesz tam bluźnierstwa przeciwko twej mocy; znajdziesz tam tylko szacunek porażonego robaka, czołgającego się pod promieniami słońca...

Richelieu spojrział na tego młodego i silnego mężczyznę, który, jak prawdziwy robak, korzył się u jego stóp, poniżony i pokorny. Prawie zawsze czyny wielkoduszności są formami pychy, która jest zaspokajana lub którą się zaspokaja.

– Powstań – powiedział łagodnie.

Saint-Priac usłuchał i mówił dalej, cały się trzęsąc, jakby z zimna:

– Wasza Eminencjo, już raz ją miałem. Co prawda, uczyniłem to dla siebie, lecz ci ją oddałem. Niech mi się tylko uda zbliżyć do niej,

a znowu wpadnie w me ręce. Tym razem – dodał z akcentem nienawiści i dzikiej namiętności – mi się już nie wymknie; choćbym miał ją nawet zasztyletować własnymi rękoma, a potem sam się zabić na jej zwłokach!

„Och, niczego innego od ciebie nie żądam!” – pomyślał Richelieu.

– Tam, gdzie ja zawiodłem, nikt inny nic nie wskóra! Nikt w tej sprawie nie będzie ci tak wiernie służył, jak ja, ponieważ służąc tobie, sobie służę! Moja namiętność jest dla ciebie gwarancją, Eminencjo!

Richelieu nie miał bynajmniej zamiaru pozbywać się Saint-Priaca; chciał go tylko rozdrażnić, ot i wszystko. Trzymał w obcęgach rozżarzony do czerwoności pręt, by później przekuć go w dowolny kształt.

– Nie wątpię ani w twą wierność, ani w męstwo – rzekł zimno – lecz nie lubię niepowodzeń, jak już ci to kiedyś powiedziałem. Niezręczność czasami może być zbrodnią! Wiedz o tym!

– Wasza Eminencjo, spotkałem na mej drodze Trencavela! – zagrzytał Saint-Priac.

– Ech, trzeba było wziąć dziesięciu strażników!

– Miałem ich trzydziestu, Wasza Eminencjo!

Richelieu zamilkł. Przeszył go nerwowy dreszcz. Przez jakiś czas w milczeniu chodził po gabinecie.

– Czyżby w takim razie ten człowiek był jakimś strasliwym przeciwnikiem? Olbrzymem?

– Wasza Eminencja go widział.

– I mówisz, że stawiał czoła trzydziestu żołnierzom?

Saint-Priac opowiedział przebieg bitwy w przedsionku. Mówił zwięźle, szybko, wtrącając wściekłe okrzyki. W końcu wyprostował się dumnie i zawołał:

– Tylko ja mogę ci przyprowadzić Annaïs, jedynie ja jestem w stanie zabić Trencavela. Niech tylko ich dopadnę...!

– To już twoja sprawa, panie Saint-Priac, nie moja.

Słowa te świadczyły, że łaska pańska została mu przywrócona. Saint-Priac westchnął głęboko i szepnął:

– Jeszcze dziś rozpocznę nową kampanię.

– Nie – przerwał mu szybko Richelieu. – Rozpoczniesz tę sprawę dopiero we wtorek.

– A do tego dnia, co mam robić, Wasza Eminencjo?

– Znajdź mi dziesięciu zdeterminowanych i silnych ludzi. Mają być dobrze uzbrojeni i gotowi na wszystko, sprytni, milczący i szybcy. Potrzebni mi będą na poniedziałek rano. Obejmiesz nad nimi dowództwo.

– Będzie ich pan miał, Wasza Eminencjo! Gdzie mam ich przyprowadzić...?

– Twoi ludzie i ty zbierzecie się o ósmej rano w poniedziałek w Longjumeau. Tam otrzymacie moje rozkazy przez posłańca, którego do was wyślę. Zastosujecie się punkt po punkcie do instrukcji, jakie zostaną wam przekazane. Na tę wyprawę potrzebujecie pieniędzy. Oto weksel na pięćset pistoli, które podejmiesz u mego skarbnika. Teraz odejdź i nie pokazuj się aż do poniedziałku.

Kardynał podpisał weksel i podał go Saint-Priacowi, który, wyszedł, rozmyślając:

„Longjumeau... to na drodze do Étioles!

Saint-Priac mylił się. Tym razem było to na drodze do Fleury, gdzie kardynał miał podejmować brata króla Francji.

Corignan i Rascasse, pozostający sami w pokoju, w którym zamknął ich Richelieu, oddawali się ponurym refleksjom. Wydawało się im oczywiste, że Saint-Priac dowiedzie kardynałowi ich zdrady. Nie wiedzieli dokładnie, jakiego rodzaju śmierć ich za to czekała, należy jednak zaznaczyć, że ten szczegół był im dość obojętny. Stryczek, trucizna czy sztylet, każda droga prowadziła do skrzyżowania. Było to skrzyżowanie dróg ciemności, której chcieli uniknąć.

– Ależ ja nie popełniłem żadnej zdrady! – ryczał Corignan, zamierzając niby wyrywać sobie włosy, ale zachowując dość zimnej krwi, by kierować dłoń na tonsurę, gdzie oczywiście nie miał za co chwycić.

– A ja? Czy sądzisz, że to ja zdradziłem? – darł się bezczelnie Rascasse.

– A co robiłeś poza piwnicą?

– A co ty robiłeś w piwnicy, bracie?

– Chciałeś zmówić się z Trencavelem! – zawył kapucyn.

– Ejże, jeszcze jesteś pijany! – stwierdził Rascasse, drżąc o to, by jego tajemnica nie wyszła na jaw.

Corignan prychnął ciężko. Rascasse zaczął gwizdać fanfarę. Byli przerażeni i wściekli. Była w nich myśl o śmierci, ale także o zrobieniu sobie czegoś złego jeszcze przed śmiercią.

– Dowodem, że zdradziłeś – ciągnął Corignan – jest to, że wyszedłeś od Trencavela, kiedy przez przypadek cię spotkałem...

– Spotkałeś mnie? – powiedział Rascasse kwaśnym, zaciekawionym tonem.

– Oczywiście. Na tym sznurze. Spacerowałeś w powietrzu, *viator in aeribus*<sup>1</sup>...

– Na sznurze – zaśmiał się Rascasse. – Ho! ho! na sznurze! A ty co robiłeś na tym sznurze? Nie powiesz mi, że w waszym klasztorze kapucynów uczono cię odprawiania mszy na sznurze?

– Nie, ale ze mną było inaczej: Trencavel wyrzucił mnie przez okno. To wtedy cię spotkałem.

– I wtedy moja pięść poznała twardość twojej czaszki – zachichotał Rascasse.

Nie trzeba było niczego więcej. Corignan rzucił się na wroga. Rascasse zobaczył nadlatujący bolid. Szybki i zręczny, ponowił wypróbowany manewr i nagle jego głowa wystrzeliła jak pocisk i trafiła Corignana prosto w żołądek. Kapucyn usiadł i trzymając się oburącz za poszkodowaną część ciała, rozplakał się.

W sąsiednim pokoju rozległ się odgłos kroków.

– Wstawaj – rzekł spokojnie Corignan – wstawaj i to szybko!

Drzwi otworzyły się i w progu stanął Ojciec Joseph.

Rascasse zdołał się podnieść i stał, chwiejąc się. Dyskretnie rozcierał sobie czaszkę, podczas gdy Corignan masował sobie żołądek.

– Co tu robicie? – zapytał uśmiechając się Ojciec Joseph.

Uśmiech ten przeraził obu nieszczęśników.

– No, uspokójcie się – powiedział Ojciec Joseph. – Nie macie się czego lękać. Posłuchajcie mnie, mam dla was pewną poufną misję. Dziś wieczorem obaj przyjdziecie do mnie do klasztoru.

---

<sup>1</sup> *Viator in aeribus* (łac.) – podróżny w powietrzu, powinno być *aeris*.

– O której godzinie, przewielebny ojczy?

– Zostaniecie powiadomieni. Wyjdziecie tymi drzwiami, widziecie?

Przeor wskazał im drzwi, znajdujące się na wprost tych, którymi sam wszedł do pokoju.

– Nie zapomnijcie – dodał – jeśli chcecie by wam wybaczone głupstwa popełnione dzisiejszej nocy.

Powiedziawszy to, Ojciec Joseph wrócił do wewnętrznych apartamentów, żegnając ich uspokajającym ruchem ręki.

Dwaj biedacy spojrzeli na siebie ponurym wzrokiem i zobaczyli, że posinieli. Wciąż jeszcze byli oszołomieni jak po uderzeniach maczugą, która ich waliła. Wydawało się im, że znają grę mimiki twarzy Szarej Eminencji, toteż jego słodka mowa, jego przyjacielskie gesty, zaufanie jakim ich zaszczycił, wszystko to napełniło ich serca przeżeniem. Przeczucie wspólnego niebezpieczeństwa zbliżyło ich nagle do siebie, czyniąc z dwóch wrogów dwóch sojuszników.

– Mój kochany mały Rascasse, co myślisz o tej misji? Wydaje mi się, że wielebny pokazał nam dobrą twarz... Ech...! Co powiesz...? Coś podejrzewasz...? Więc ja, na flaki diabła...!

– Mój kochany Corignanie, nie pójde wcale w umówione miejsce. Oto co o tym myślę.

– Ani ja, na śmierć diabła! Nie mam zamiaru zgnić w in pace.

– Trzymajmy się mocno, Corignanie. Bądźmy gotowi na wszystko. Kiedy stąd wyjdziemy...

– Tak, wyjdźmy, mój dzielny kompanie.

– Zatem gdy stąd wyjdziemy, pomyślimy jak wybrnąć z oparów wyświadczać kardynałowi jakąś wielką przysługę.

– Dobrze, ale dlaczego nie mamy wyjść zaraz?

– Przecież powiedziano nam, Corignanie, abyśmy czekali. Także dlatego, że zacny wielebny, wychodząc, zamknął drzwi na dwa spusty.

– Fakt, ale tędy? – zapytał Corignan, pokazując drzwi, które im wskazał Ojciec Joseph.

– Te prowadzą na tajemne schody – odparł Rascasse. – Założę się, że drzwi, którymi wychodzi się na plac Royale, są solidnie za-ryglowane.

Rascasse wyszedł zbadać wspomniane schody. Po dwóch minutach powrócił, bardzo blady. Były to kamienne, spiralne schody, prowadzące do drzwi w narożniku pałacu od strony placu Royale. Tak jak przypuszczał, te drzwi były zamknięte.

– Jesteśmy uwięzieni – stwierdził.

– Rascasse, drogi przyjacielu, wyciągnij nas stąd – lamentował Corignan.

Rascasse pokręcił głową.

– Jesteśmy w rękach kardynała – odparł głucho. – Zachowamy skórę, jeśli ta straszna ręka zechce nam otworzyć.

Czas płynął. Powoli upływał dzień. Godzina mijała za godziną, każda podobna do godzin konania. Rascasse i Corignan nie rozmawiali już ze sobą. Pochodziły do nich jedynie ledwie słyszalne odgłosy życia w pałacu. Zaczął im doskwierać głód.

Pod wieczór Corignan zapytał:

– Czy uważasz, że pozwolą nam umrzeć tutaj z głodu i pragnienia?

– Nie sądzę – odparł Rascasse zobojętniały z rozpaczki.

Nawet w tej chwili udręki nie mógł się oprzeć pokusie dręczenia swego wroga.

– Poza tym – dodał – co, u diabła, mają zrobić z trupem takim jak twój? Chyba że zostaniesz umieszczony w solance.

Corignan był zbyt przygnębiony, by odpowiedzieć. Nie bez dumy Rascasse powiedział do siebie:

„Jeśli tu umrzemy, to ja będę miał ostatnie słowo. Mnich nie może już tego znieść”.

Stopniowo zapadały ciemności. Owego pokoju w głębi nie oświetlało żadne okno, nie było w nim żadnej pochodni. Potem nastąpiła czarna noc. Dwaj nieszczęśnicy przysunęli się do siebie. Wydawało się im, że razem będą bardziej odporni nie na niebezpieczeństwo, ale na strach.

Znowu popłynęły godziny jeszcze dłuższe i jeszcze posępniejsze. Pomieszane odgłosy, które dotrzymywały im towarzystwa, cichły jeden po drugim. Mogło być blisko północy. Gardła dwóch więźniów paliło straszliwe pragnienie. Jeśli chodzi o głód, to go nie odczuwali. Okropność położenia kazała im zapomnieć o wszystkim.

Corignan z trudem łapał powietrze, a od czasu do czasu wydawał z siebie rozpaczliwy ryk. Rascasse wciąż próbował, ale bardzo słabo, myśleć o sytuacji, jej przyczynach i prawdopodobnych konsekwencjach.

Warczenie Corignana oznaczało: tutaj zginiemy.

Rozważania Rascasse doprowadziły go do takiej myśli: zdechniemy w tym kącie.

Nagle otworzyły się drzwi, te wiodące do apartamentów wewnętrznych.

Ukazał się służący z pochodnią w ręku. Rascasse i Corignan, którzy siedzieli wtuleni w fotele, zerwali się na równe nogi oślepieni światłem, przerażeni, podobni do puchaczy, zaskoczonych w ich kryjówkach.

„Już czas! – pomyśleli. – czas pogrzebu!”

Ale w tej chwili poznali lokaja. Był to poczciwy staruszek o łagodnym obliczu, któremu wiele razy jeden lub drugi wsunął do ręki ecu. Uśmiechał się do nich błogo, najżyczliwiej pod słońcem. Odechnęli z ulgą; czuli, że wstępuje w nich nowe życie.

– Już czas! – rzekł lokaj.

Znowu zadrżeli, ogarnięci przerażającym lękiem. Czas na co? Może na śmierć?

– Już czas? – wybełkotał Rascasse.

– Czas na obiad, nieprawdaż? – podszepnął Corignan z bohaterским uśmiechem.

– Czas udać się do bardzo przewielebnego Ojca Josepha! – odparł spokojnie służący.

– Och! – rzekł Corignan, zdumiony tym pleonazmem. – więc to bardzo przewielebny...

– Mój Boże, tak. – Uśmiech sługi był coraz bardziej obłudny. – Ma wam powierzyć jakąś poufną misję. Dobrze zarobicie. Idźcie już... już czas!

Wskazał na drzwi, wiodące na spiralne schody. Rascasse i Corignan wyszli na schody... wtedy Rascasse zatrzasnął drzwi przed samym nosem służącego, który szedł za nimi. Corignan, nie zwracając na nic uwagi, zaczął schodzić pierwszy. Kaganek umieszczony w niszy niewyraźnie oświetlał stopnie. Nagle Rascasse pochwycił Corigna-

na za kołnierz i zmusił go do powrotu. Kapucyn, przypuszczając, że jest to jeden z niezliczonych ataków karzełka, odwrócił się wściekły, ujrzał jednak, że twarz Rascasse'a była wykrzywiona przerażeniem, a oczy szeroko otwarte.

– Och! – szepnął. – Co się stało?

– To, kompanie – odszepnął Rascasse – że nie powinniśmy schodzić, tylko odwrotnie, wdrapać się wyżej.

– Ale dlaczego, skoro bardzo przewielebny...

– Zaczekaj tu chwilę. Bez ani jednego słowa, jednego dźwięku, jednego westchnienia...

Corignan skamieniał i wstrzymał oddech. Rascasse zaczął skradać się w stronę wąskich kręconych schodów. Był mistrzem cichego skradania się. Corignan z prawdziwą zazdrością spoglądał na jego małą figurkę ślizgającą się wzdłuż muru bez najlżejszego szmeru. Mały szpieg zszedł na dół, po chwili wrócił, przyłożył palec do ust i porwawszy Corignana za rękę, zaczął wdrapywać się na wyższe piętro.

Wkrótce potem na schodach rozbłysło światło. Corignan przechylił się przez parapet i ujrzał służącego, który błądy i drżący, z pochodnią w ręku, podobny do widma, nadśluchiwał...

Tymczasem oni już dochodzili do poddasza.

– Na Boga! Co się dzieje? – zapytał drżącym głosem Corignan.

– Nie rozumiesz? To prawda, zapomniałem, że masz głowę muła...

Otóż, kamracie, czy wiesz, co widziałem tam, na dole schodów?

– Trencavela? Montariola?

– Widziałem – rzekł Rascasse, wzruszając ramionami – widziałem ośmiu zbirów ze sztyletami w ręku. Czterech dla ciebie, a czterech dla mnie. Dobry miara. Gdybyśmy zeszli, to bylibyśmy teraz w tym lepszym świecie, o którym tak często mi mówisz, i do którego chcę się udać, ale trochę później...

Corignan ze strachu zaszczekał zębami.

W tej chwili usłyszeli głos sługi Richelieu'go, który, zapewne nieświadomie, powtarzał straszne słowa Gwizjusza do mordercy Coligny'ego<sup>1</sup>:

---

<sup>1</sup> Gaspard Coligny (1519-1572) – francuski admirał, przywódca hugenotów; w roku 1572 w czasie wojny z Habsburgami wstrzymał pochód wojsk hiszpańskich na



– Hej, tam, czy już zrobione?

Dwaj nieszczęśnicy poczuli, że włosy jeżą im się na głowie, a przecież, w gruncie rzeczy, byli dzielnymi chłopcami... Nie raz i nie dwa razy spoglądali niebezpieczeństwu prosto w oczy. Ale taka podła śmierć, to zabójstwo w ciemności, ta wizja ich ciał poszarpanych na kawałki, spowodowała u nich zawroty głowy. W tej sekundzie zobaczyli Richelieu'go, który był tygrysem wyciągającym pazury, ponieważ był spragniony krwi. Jednak ani ważne zasługi, ani prawdziwe poświęcenie tych dwóch biedaków w jego ślepiach nie zasługiwało na łaskę. Złamał ich jak łamie się zardzewiałe ostrza.

Rozejrzeli się wokół siebie błędnym wzrokiem.

– Nie widzieliśmy ich! – krzyknął głos u podnóża schodów.

– Nie widzieliście ich?! – warknął lokaj, zapominając zlągodzić głos. – Za chwilę powinni zejść!

Przez chwilę trwała okropna cisza.

Potem Corignan wybełkotał:

– Ktoś wchodzi na górę!

Rascasse ujrzał jakieś drzwi i otworzył je. Dokąd prowadziły? Tego nie wiedział. Ostatni odruch chęci do życia dyktował mu te automatyczne ruchy. Przekroczył próg i ujrzał się na przestronnym poddaszu, którego białe linie przecinały świetliste bruzdy, równo rozmieszczone. Był to księżyc przez trzy lub cztery okienka w dachu rzucający swe równoległe promienie.

Corignan za żadne skarby nie opuściłby Rascasse'a i także wszedł za nim. Rascasse dał mu znak ręką, po czym obaj zabarykadowali drzwi dwoma czy trzema kuframi ustawionymi w stos. Był już najwyższy czas. Rozległy się gwałtowne uderzenia.

– Kamracie – rzekł Rascasse – daj mi twój habit.

– Proszę – odparł nieprzytomny ze strachu Corignan.

Na poddaszu była moc wszelkiego rodzaju starych mebli. Rascasse ustawił kilka taboretów jeden na drugim, rzucił na nie habit kapucyna, czyniąc z niego kukłę; umiejętnie ułożył kaptur... Wszystko

---

Francję; w latach 1562-1570 na czele francuskich hugenotów w wojnie religijnej; zamordowany w noc św. Bartłomieja.

to, oświetlone bladymi blaskami księżycy utworzyło jakiś fantastyczny obraz.

– Dobrze! – mruknął Rascasse. – To widmo powstrzyma ich choćby na minutę.

Na drzwi spadał grad uderzeń. Pod Corignanem ze strachu ugięły się nogi. Rascasse pchnął go pod najbliższe okienko.

– Kamracie, zrób z siebie drabinkę. Wleżę ci na ramiona, a stamtąd prześlizgnę się na dach. Później tam cię wyciągnę.

W innej chwili Corignan nie dowierzałby mu, ale teraz, ogłupiały z przerażenia zgodził się na taki manewr. Rascasse, ulokowawszy się na szerokich ramionach kapucyna, uniósł ramię okienka i wydostał się na dach. Następnie pochylił się nad otworem.

– Kolego – powiedział – za chwilę ci panowie wywalą drzwi i rzucą się na ciebie. Proponuję ci powitać ich ciosami sztyletu, pięści, albo też kolana. Na pewno ich pokonasz. Wówczas poczekaś na dzień, zejdziesz sobie spokojnie i dołączysz do mnie w moim mieszkaniu, gdzie opowiesz mi całą swą walkę. Jeśli chodzi o mnie, to pewna sprawa zmusza mnie, bym jak najszybciej znalazł się na ulicy. Żegnaj, kamracie, i cierpliwie czekaj...

– Ach, nędzniku! – ryknął Corignan.

Rascasse zniknął. Corignan ścisnął sobie głowę rękoma, zapytując siebie, czy nie lepiej by było otworzyć napastnikom i po prostu od razu pozwolić się zabić, żeby skończyć ze strachem, który z każdą chwilą stawał się coraz bardziej okrutny. Następnie zaczął się kręcić wokół siebie, a potem ruszył poddaszem, sam nie wiedząc, dokąd idzie...

W tym momencie zbiry wysłani przez Richelieu'go kończyli wyłamywanie drzwi.



**Chcesz przeczytać dalszą część?**

***Zapraszamy do księgarni!***